# Życie daremne

## „Wiadomości" 1950–1956

Stanisław

# CAT-MACKIEWICZ

universitas

# Życie daremne

**Stanisław**

# CAT-MACKIEWICZ

## pisma wybrane

wybór i opracowanie
Jan Sadkiewicz

Kropki nad i • Dziś i jutro

Myśl w obcęgach.
Studia nad psychologią społeczeństwa Sowietów

Historia Polski
od 11 listopada 1918 do 17 września 1939

O jedenastej – powiada aktor –
sztuka jest skończona.
Polityka Józefa Becka

Lata nadziei:
17 września 1939 – 5 lipca 1945

Był bal

Europa in flagranti

Herezje i prawdy

Dom Radziwiłłów

Zielone oczy

Stanisław August

Londyniszcze

Dostojewski

Klucz do Piłsudskiego

Trzylecie

Albo-albo

Nie!

Lady Makbet myje ręce

Od małego Bergu do wielkiego Bergu

Chciałbym przekrzyczeć kurtynę żelazną.
„Lwów i Wilno" 1946–1950

Wunderkind.
Rzecz o Adolfie Bocheńskim

Książka moich rozczarowań

Życie daremne. „Wiadomości" 1950–1956

# Życie daremne
## „Wiadomości" 1950–1956

Stanisław

# CAT-MACKIEWICZ

wybór, opracowanie i posłowie
**Jan Sadkiewicz**

Kraków

© Copyright by heirs of Stanisław Mackiewicz and Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2022

*W „obronie" Anglików. Granice Mackiewiczowego realizmu*
© Copyright by Jan Sadkiewicz and Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2022

ISBN 978-83-242-3726-5
e-ISBN 978-83-242-6687-6

Opracowanie redakcyjne
*Jan Sadkiewicz*

Konsultacje językowe
*Dorota Drużyłowska (język rosyjski)*
*Marta Turnau (język francuski)*

Projekt okładki i stron tytułowych
*Ewa Gray*

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

www.universitas.com.pl

*…byłem bezsilny w tym, co było najważniejsze…*

Cat

nr 213, 30 kwietnia 1950

# Badania historyczne nie są szaszłykiem

## Schorzenia publikacji historycznych: a) anachronizm, b) liryzacja, c) monizm

Operetka Offenbacha *Piękna Helena* czy *Orfeusz w piekle*, komizm tych operetek polega na anachronizmie historycznym. Gdy poprzez tłum bogów i bogiń przepycha się austriacki lejtnant „od ułanów" w czerwonych spodniach i niebieskiej kurtce, to efekt komiczny, który ten widok wywołuje, polega na anachronizmie historycznym, na pomieszczeniu obok siebie na jednej scenie dwóch epok, oddzielonych dwoma tysiącami lat. Historyk popełniający anachronizmy w tłumaczeniach biegu dziejów jest mniej zabawny, lecz za to szkodliwszy, gdyż tworzy teorie bzdurne, utrudniające nam zrozumienie historii.

W dziełach jednego poważnego profesora historii oraz publikacjach wielu publicystów, miłujących dzieje ojczyste (niebezpieczny rodzaj ludzi pióra), spotykam się z tezą, że u Polaków XI wieku, za Bolesława Krzywoustego i wcześniej, znać „parcie ku morzu". Wszystko w takim poglądzie jest anachroniczne, zaczynając nawet od określenia „Polaków XI wieku". Krzywousty walczył z Pomorzanami; załóżmy, że była to polityka imperialistyczna dążąca do rozszerzenia terytorium, ale nie dlatego, by Pomorze otwierało mu morze czy styczność z morzem. Czegóż bowiem Krzywousty i wojownicy z jego drużyn mogli oczekiwać od morza? Kostiumów kąpielowych wtedy nie znano, jak również rozkoszy plażowania; ryb miano pod dostatkiem w wodach słod-

kich, a pływać po morzu „Polacy XI wieku" nie umieli i w ogóle handel morski, wyprawy morskie uprawiało wtedy w Europie tylko kilka narodów, do których nasi przodkowie nie należeli. Ta moja opinia, wypowiedziana na jednym zebraniu, spotkała się z uwagą gen. Kukiela, który zacytował Gallusa, cieszącego się ze świeżych ryb morskich. Nie podzielam gustu Gallusa, zawsze będę wolał szczupaka od flądry, ale sądzę, że ta różnica gustu w niczym nie zmieni faktu, że morze stało się pierwszorzędną kwestią polityczną i gospodarczą dopiero w przeddzień epoki merkantylizmu, a dostęp do morza stał się dla Polaków ważny dopiero w chwili, gdy po tym morzu zaczęły pływać okręty. Za czasów Krzywoustego anemiczny handel międzynarodowy uciekał od morza, szukał dróg rzecznych i stąd wypowiadanie poglądów, że drużynami Krzywoustego kierowało „parcie do morza", jest anachronizmem, jest przenoszeniem zjawisk z czasów późniejszych do epoki wcześniejszej.

Tak samo anachronizmem jest tak ukochana przez Polaków teoria, że wtedy, gdy w całej Europie płonęły stosy inkwizycyjne, w jednej jedynej Polsce świeciło słoneczko religijnej tolerancji, a Zygmunt August, niczym jakiś wielbiciel i uczeń Woltera, powiedział nuncjuszowi: „Pozwól mi być królem owieczek i kozłów". Już Michał Bobrzyński naśmiewał się z tego anachronizmu. Brak energicznej walki z herezjami w Polsce XVI wieku należy tłumaczyć szeregiem rozmaitych przyczyn, a tylko nie „tolerancją", tj. poglądem filozoficznym wykształconym później, opartym na przekonaniu, że nie należy się mieszać do tego, w co wierzy bliźni i że każde wyznanie zasługuje na szacunek. Tego rodzaju przekonanie, które w XVIII wieku urosło do rozmiarów pięknej maksymy moralnej, było zupełnie nieznane Europie XVI wieku. Przeciwnie, Europejczykowi w tych czasach wydawało się rzeczą obrzydliwą nie starać się wybijać heretykowi jego błędu z głowy, tak jak dla nas rzeczą obrzydliwą jest patrzeć na dziecko, które włazi do wody i topi się, i nie pobiec go z wody wyciągnąć. Tole-

rancja, oto jest rzecz nieodłączna od indyferentyzmu religijnego, od sceptycyzmu, a tolerancja polska XVI wieku, jak słusznie pisze Bobrzyński, była wynikiem braku głębokiej wiary u nas i braku charakteru, braku chęci obrony swoich religijnych ideałów. Do tych rozważań dodałbym jeszcze swoje przekonanie o głębokim indyferentyzmie religijnym rodziny Giedymina, tak jaskrawo zaznaczonym w dziejach Jagiełły i Witolda, indyferentyzmie, który dopomógł tej najwspanialszej dynastii Europy Wschodniej w rządach w ich wielonarodowym i wieloreligijnym imperium, którym było państwo Witolda Wielkiego lub Kazimierza Jagiellończyka. Zygmunt August, epigon i likwidator tej wielkiej dynastii, był humanistą i w jego zdaniu o „owieczkach i kozłach" upatrywać należy jakiegoś odblasku neopogańskiego indyferentyzmu, a nie rzeczy z tak zupełnie innego klimatu historycznego, jakim jest tolerancja dla wszystkich wyznań religijnych.

W twierdzeniach „my byliśmy inni niż wszyscy" często jesteśmy zupełnie dziecinni i zapominamy, że życie ludzkości ściskane jest żelaznymi obręczami różnych epok i że nie można sobie wyobrazić, aby Polska XVI wieku rządziła się pojęciami moralnymi, do których inne kraje europejskie doszły dopiero w dwieście lat później. Polska była przecież częścią wspólnoty europejskiej i rytm jej pojęć odpowiadał rytmowi ogólnoeuropejskiemu. O jakiejś niewspółczesności pojęć można mówić, gdy się mówi o Francji XVI wieku i Chinach XVI wieku, ale pomiędzy Francją a Polską nie mogło być takich różnic w pojęciach i to na naszą korzyść, jak sobie wyobrażamy. Pamiętam, w roku 1941 w jakimś przemówieniu, które prezydent Raczkiewicz napisał dla Rady Narodowej, powtórzył on również przez wszystkich Polaków ukochane twierdzenie, że nasze *Neminem captivabimus nisi iure victum* z pierwszej ćwierci XV wieku wyprzedziło angielskie *Habeas Corpus Act* z drugiej połowy XVII wieku. Oczywiście jest to twierdzenie całkowicie anachronistyczne. *Neminem captivabimus…* było przywilejem nadanym szlachcie, jego poprzednikiem

był m.in. podobny przywilej nadany szlachcie francuskiej przez Jana Dobrego w połowie XIV wieku. *Habeas Corpus Act* ma zupełnie inny charakter i w ogóle nic nie ma wspólnego z tamtymi stanowymi przywilejami późnego średniowiecza.

Takie zabawne przechwalanie się, żeśmy to samo, co Anglicy wymyślili w XVII wieku, mieli już w XV wieku, przesłania nam tylko to, co w Polsce było istotnie oryginalne, swoiste i poniekąd imponujące. Bo czyż nie jest na przykład zachwycające, że ten naród tak się w starożytnych Rzymianach zakochał, iż starał się naśladować rzymski ustrój? Tutaj istotnie możemy powiedzieć, że aczkolwiek Europa z czasów renesansu i reakcji katolickiej ulegała czarowi czasów łacińskich, to jednak nikt tak dalece w naśladowaniu konstytucyjnych wzorów rzymskich w tym czasie nie poszedł jak Polacy. Cały ustrój Rzeczypospolitej w XVII wieku, łącznie z *liberum veto*, to wyjątkowy, zaiste maurrasowski wpływ estetycznych zachwytów dla cywilizacji starożytnego Rzymu, przeniesiony do kraju sosen, wierzb i brzóz.

Przestrzegam jeszcze przed jednym często spotykanym anachronizmem. Lubimy oto wypowiadać w chwilach podniosłych zdania, zawarte w akcie unii horodelskiej, o miłości wśród narodów. To Sienkiewicz w odpowiedzi Brandesowi[1] zacytował te zdania i od tego czasu nie ma szanującego się zjazdu rodaków, na którym by się obeszło bez ich cytowania jako niezbitego dowodu,

---

[1] Na akt unii horodelskiej Sienkiewicz powoływał się w polemice z twierdzeniami norweskiego pisarza Bjørnstjerne Bjørnsona (zob. H. Sienkiewicz, *Odpowiedź na artykuł Björnsona*, w: *Pisma Henryka Sienkiewicza*, tom XXXV, Warszawa 1912, s. 143–158). Z duńskim krytykiem Georgiem Brandesem (między innymi) Sienkiewicz polemizował na temat powieści historycznej (zob. H. Sienkiewicz, *O powieści historycznej*, „Słowo" (Warszawa), nr 98–101 z 30 kwietnia–3 maja 1889). W innym artykule (*Unia horodelska i Neminem captivabimus*, „Wiadomości", nr 392 z 4 października 1953) Mackiewicz poprawnie przypisał powołanie się przez Sienkiewicza na akt unii horodelskiej polemice z Bjørnsonem.

iż Polacy z początków XV wieku byli tak wyjątkowym narodem, że myśleli tylko o miłości, gdy wszyscy inni myśleli tylko o wojnach. Otóż tekst unii horodelskiej jest wypełniony, po prostu, zwykłą dla owych czasów frazeologią. W innych aktach z tych czasów, nawet w umowach polsko-krzyżackich, spotykamy zdania podobne[2]. Jest to piękna frazeologia ówczesnych czasów, a nie żaden polski wynalazek czy polska osobliwość. Jest oczywiście nie do pomyślenia, by Polacy XV wieku mogli się posługiwać inną frazeologią niż ta, którą posługiwał się wiek XV. Przypuszczenie, że Polacy z XV wieku mogli myśleć tak, jak myślą Europejczycy z XIX wieku i mieć ideały wyprzedzające Europę o lat czterysta, jest oczywiście naiwnym anachronistycznym błędem myślenia historycznego.

W badaniach historycznych nie tylko trzeba pamiętać, że żaden naród nie może wyprzedzać swej epoki w ten sposób, ale trzeba także pamiętać, że wszystko jest zmienne, wszystko relatywne, że nawet te same nazwy, określające te same pojęcia, często nas zawodzą.

Nurt dziejów niesie z sobą pojęcia, jak wartki strumień porywa kamienie i oto te kamienie nie wyglądają już tak, jak wyglądały. Czytam, że Długosz był pisarzem katolickim, że nienawidził wszelkich herezji, że stąd nienawidził i zwalczał husytów. Tak jest! Oczywiście, że był katolikiem, ale jednocześnie z zamiłowaniem wyszydzał papieży, co już mniej się łączy z pojęciem pisarza katolickiego XX wieku. Ale Długosz żył w XV wieku i należał do

---

[2] „Poprzedzanie zawieranych umów wzniosłymi, poetycznymi frazesami było wtedy zwyczajem powszechnym – pisał Cat w innym tekście – i bynajmniej nie jedni Polacy pisali o miłości, a inni obiecywali sobie tylko zemsty i morderstwa, jak by można było mniemać pod wrażeniem przemówień na naszych akademiach" (*Unia horodelska i Neminem captivabimus*, „Wiadomości", nr 392, 4 października 1953).

stronnictwa koncyliarnego, które namiętnie zwalczało stronnictwo kurialne w kościele, tj. papieskie.

Anachronizm w tłumaczeniu historii jest tak samo niebezpieczny jak anachronizm w publicystyce politycznej. Oto w 1945 roku, gdy Ameryka uznała rząd Bieruta, uznaliśmy to za klęskę dla niezależności Polski. Gdyby jednak teraz, w roku 1950, Ameryka zerwała stosunki dyplomatyczne z Bierutem, byłaby to znowuż nowa Polski klęska, gdyż czyniłoby to ze sprawy polskiej wewnętrzną sprawę rosyjską.

Podobnie, jak anachronistycznego sposobu myślenia, należy się wystrzegać innego schorzenia badań historycznych, schorzenia, którego objawem jest liryzacja dziejów. Oto opisywałem w swojej książce o Dostojewskim wspaniałą mowę, którą Dostojewski wygłosił z okazji odsłonięcia pomnika Puszkina w Moskwie w 1880 roku. Dostojewski mówił o ideologii Puszkina. Cała Rosja zawyła z zachwytu, cała Rosja przyznała mu rację. A jednak to, co Dostojewski mówił o Puszkinie, nie było w ogóle podobne do ideologii Puszkina, były to własne Dostojewskiego przekonania i w ogóle ideologia o kilkadziesiąt lat od śmierci Puszkina późniejsza.

Słowianofile polscy i rosyjscy, gdy w pierwszej połowie XIX wieku zaczęli się zachwycać światem słowiańskim, zaczęli pierwotnym Słowianom przypisywać te wszystkie cechy ustrojowe, społeczne i moralne, które były naiwnymi ideałami tejże pierwszej połowy XIX wieku. Z czytania słowianofilskich artykułów rosyjskich dowiadujemy się, że pierwotni Słowianie mieli coś w rodzaju ustroju reprezentacyjno-parlamentarnego, przypominającego konstytucję angielską. Z pism Lelewela dowiadujemy się, że wśród pierwotnych Słowian panowało gminowładztwo. Inni słowianofile, zwolennicy utopijnego socjalizmu, teorii Fouriera, „falansterów", uważali za pewnik, że wspólnota gospodarcza jest cechą prasłowiańską i arcysłowiańską. Rodzina państwa Aksakowów, która w obozie słowianofili rosyjskich ode-

grała rolę pierwszorzędną, była przekonana, że wstrzemięźliwość w dziedzinie seksualnej była znowuż tą cechą, która wyróżniała świat prasłowiański od innych gatunków człowieka.

Oczywiście wszystkie te fantazje są tak podobne do prawdy, jak atmosfera *Balladyny* Słowackiego podobna jest do prehistorycznej prawdy ludów słowiańskich.

Czasami jest nam bardzo trudno i przykro rozstać się z taką liryzacją dziejów, ludzi i faktów. Pamiętam, jak mój nauczyciel języka polskiego w gimnazjum wileńskim, uczeń prof. Stanisława Pigonia, szlachetny, egzaltowany i nieszczęśliwy Stanisław Cywiński, wciąż powtarzał w czasie swych lekcji, że „nie życie Mickiewicza jest komentarzem do jego dzieł, lecz przeciwnie – dzieła Mickiewicza są zaledwie komentarzem do jego życia". Otóż Mickiewicz niewątpliwie wypowiadał czasami myśli głębokie, ale, na ogół, jako ideolog polityczny, był to raczej jegomość kapryśny, zmienny, dający się łatwo sugestionować i porywać w rozmaitych kierunkach. Jedynie olbrzymi talent, olbrzymi geniusz poetycki twórcy *Sonetów krymskich* i *Pana Tadeusza* sprawia, że nie uważamy *Ksiąg pielgrzymstwa polskiego* za stek nonsensów historycznych, nad którymi nie warto się zastanawiać. Z filozofią historyczną wielkich poetów jest trochę tak jak z dowcipami generałów opowiadanymi wśród podporuczników. Muszą być uznane za znakomite.

Anachronizmy, liryzacja w tłumaczeniu dziejów panoszą się nie tylko wśród poetów, powieściopisarzy, publicystów, ale także wśród najpoważniejszych naukowców. Ale poza tym jest jeszcze jedno schorzenie, które cechuje także największych naszych nauczycieli w dziedzinie biegu dziejów, mianowicie otwieranie wszystkich szuflad jednym kluczem. Tłumaczenie dziejów przez wielkiego Marksa jest tłumaczeniem monistycznym, jednostronnym. Twierdzenie, że siłą, która decyduje o kierunku, w którym biegną wypadki historyczne, są względy gospodarcze, jest tłumaczeniem jednostronnym. Świat jest tworem o wiele bardziej zło-

żonym; oto czasami narody całe ulegają potrzebie masochizmu, samoznęcania się nad sobą; oto czasami wariują i z furią rzucają się na innych jak krwawe bestie. Bobrzyński chciał wytłumaczyć dolę czy niedolę Polski przypływem i odpływem zasady silnej władzy. Kto inny będzie tłumaczył bieg dziejów w sposób antymarksistowski, potrzebą ludzkości stworzenia sobie jakichś iluzji i dążeniem do ich realizacji. Dzisiejsza rzeczywistość rosyjska wydaje mi się być o wiele bliższa teoriom Hegla niż Marksa, natomiast Marks może nam lepiej wytłumaczyć dzisiejszą politykę Stanów Zjednoczonych. Ale na ogół wszystkie te uniwersalne klucze do tłumaczenia dziejów zawodzą. Ani życie człowieka, ani życie narodów – jak by powiedział Czechow – nie jest szaszłykiem, który by się dał piec tylko na jednym rożnie.

# Eisenhower powiedział: co było, to minęło

## Nie cieszcie się

Jeździłem po Niemczech przez cały miesiąc: rozmawiałem z robotnikami w „bummelzugach”[1], z przygodną publicznością, gdzie się dało, z kelnerkami w restauracjach, z wybitnymi publicystami, z księżmi, profesorami i zakonnikami, z aktorkami i aktorami, z politykami, premierami krajów i ministrami republiki związkowej, zastępcą wysokiego komisarza francuskiego. Był to istotnie mój miesiąc „nieboszczyka na urlopie” – przez miesiąc nie czułem się łachmanem wyrzuconym na „śmietnik historii”, jak o nas napisał Bernard Singer, śmieciem zapomnianym przez londyńską szczotkę do zamiatania ulic, lecz członkiem licznego i niebezpiecznego sąsiedniego narodu, z którym rozmowa jest interesująca.

Nic bardziej łatwego od wypowiadania uwag syntetycznych o całych narodach, nic bardziej głupiego od upierania się latami przy takich syntezach. Rumunów uważano za złych żołnierzy, w ostatniej wojnie bili się lepiej od Węgrów; Anglików uważano niegdyś za ludzi, którzy dotrzymują słowa; Greków uważaliśmy wszyscy za ludzi, którzy na wojnie uciekają jak zające, otóż podczas ostatniej wojny Grecy się bili jak głodne lwy. O Niemcach w początkach XIX wieku mówiono, że to naród indywidualistów i romantyków, w XX – że myślą, nienawidzą i kochają na komen-

[1] Z niem.: pociąg osobowy.

dę, obecnie w Niemczech – co głowa, to rozum. Przynajmniej tak jest w dziedzinie politycznej. Myśl polityczna społeczeństwa niemieckiego straciła nurt, robi wrażenie stawu zahamowanego przez tamę, a więc stawu rozlanego szeroko i płytko. Są wprawdzie rzeczy w dziedzinie politycznej, które wszyscy powtarzają jednakowo, jak: „nie chcemy wojny", „nie chcemy być żołnierzami", „chcemy Paneuropy", ale każdy Niemiec ma inne zupełnie wyobrażenie o tym, jaki system może doprowadzić do realizacji tak sprzecznych ze sobą życzeń. Na pytanie, czy chcą się także bronić przez ewentualną inwazją komunistyczną, inteligencja odpowiada przeważnie, że woli panowanie komunistów niż nową wojnę, wśród robotników zdania są bardziej podzielone.

Pewien wybitny stary publicysta, liberał, radykał i demokrata typu XIX wieku, przyjaciel p. Schumana, francuskiego ministra spraw zagranicznych, z czasów swej młodości, oraz kolega p. Heussa, obecnego prezydenta republiki związkowej Niemiec Zachodnich, o których mówi zresztą niechętnie, jak to zwykle czynią starzy koledzy w stosunku do kogoś, kto zrobił zbyt dużą karierę, w rozmowie ze mną aż uniósł się z krzesła z emocji, gdy zaczął wołać:

– I są w Niemczech demagodzy, którzy twierdzą, że Wrocław (powiedział „Wrocław", nie „Breslau", choć mówił po niemiecku) powinien powrócić do Niemiec. O głupi demagodzy, przez Amerykanów opłacani!

– Cóż pan mówi o planie Plevena uzbrojenia Europy z ograniczeniem niemieckich jednostek wojskowych do rozmiarów batalionów? – zapytałem.

– Bardzo mądry plan. Chodzi o sabotowanie pomysłów amerykańskich, dążących do pchnięcia Niemiec w kierunku nowej wojny. Niemcy powinni się tylko cieszyć z polityki Plevena.

Głos owego starego publicysty w sprawie granicy Odry i Nysy nie jest bynajmniej w Niemczech odosobniony. Rok temu,

w grudniu 1949, rozmawiałem w Bonn z nie byle kim, bo z samą p. Heleną Wessel, wodzem stronnictwa Centrum. Jest to stronnictwo, które nie wchodzi w skład rządu p. Adenauera, ale natomiast uczestniczy w rządzie krajowym nadreńsko-westfalskim, czyli w rządzie największej z republik związkowych. Otóż p. Helena Wessel powiedziała mi wtedy dosłownie, co następuje:

– Ja także myślę, że granica Odry i Nysy jest granicą pokoju.

– Tacy Niemcy są na wagę złota – powiedział mi ktoś, komu o tym w Londynie opowiadałem.

Otóż polityczna ocena wartości tych ludzi dla sprawy polskiej jest o wiele bardziej skomplikowana, niż to się na pierwszy rzut oka wydaje. Niewątpliwie p. Bierut może ich uważać za polonofilów. Ale nasza emigracja powinna ich raczej zaliczyć do najbardziej dla nas niebezpiecznego obozu niemieckiego, bo do ludzi, którzy chcą utrzymać dobre stosunki z Rosją nawet wbrew Amerykanom, nawet wbrew Anglikom. Bo przecież chociażby z tenoru zdań, które powyżej zacytowałem, widać, że zgadzając się na granicę Odry i Nysy, nie czynią tego ze względu na Polskę, lecz ze względu na Rosję, z którą za wszelką cenę chcą uniknąć konfliktu.

## Ruiny i błoto

Sylwetki powyższe należą do kategorii Niemców, którzy są prorosyjscy z lęku, z niechęci do wojny, z powojennej depresji, z politycznej pasywności. Później zajmę się Niemcami prorosyjskimi przez aktywność, przez silne ciśnienie politycznych koncepcji. Ale na razie pozwolę sobie na małą dygresję. Chodzi właśnie o wpływ, który na poglądy polityczne obecnego Niemca wywierają ruiny i błoto. Swego czasu na umysłowość polską początków XX wieku ogromny wpływ wywierały Tatry. Wszyscy polscy poeci i literaci jeździli wtedy do Zakopanego i tatrzańskie szczyty nastrajały ich heroicznie, wzywały do czynów bohaterskich i romantycznych.

Kto wie, czy bez Zakopanego i Tatr powstałby w Galicji Związek i Drużyny Strzeleckie. Tatry podniecały – miasta z rozwalonymi wnętrznościami działają depresyjnie i ponuro. W ogóle Niemcy dzisiejsze to kraj tanich okropności.

Oto p. Kogon, głowa ruchu paneuropejskiego, ogłasza książkę o kacetach, która swoją dokładnością i wyrazistością opowieści o wszelkich bestialstwach góruje nad książkami ogłoszonymi na ten temat po polsku. W obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie esesmani zabijali komunistów, ale jeśli ktoś był niekomunistą, to znowuż mogła go spotkać śmierć inna: komuniści mieli w ręku szpital więzienny i swoich przeciwników politycznych mordowali zastrzykami śmierciodajnymi. Zginęło w ten sposób wielu Polaków, stwierdza p. Kogon.

Oto pewna Niemka, niegdyś nauczycielka historii w Turyngii, dziś tancerka w lokalu nocnym we Frankfurcie, opowiada mi o bombardowaniu Drezna. W ciągu jednej nocy miasto zostało zniszczone i milion mieszkańców zginęło.

– Wyszłam rano ze schronu, domów już nie było, ale na rogu stał tramwaj. Siedzieli w nim ludzie i nawet kierowca stał na swoim miejscu. Byli to jednak ludzie nieżywi. Zostali zabici podmuchem bomby.

Spacer wśród ruin po błocie. Przyjechałem do miasta L., aby złożyć wizytę koledze z Rady Narodowej, panu M. Nie było go w koszarach. Kazano mi szukać w innych koszarach. Długo po nocy skakałem po błocie w towarzystwie jakiegoś Rosjanina. Robił wrażenie skończonego wariata. Opowiadał, że jest profesorem konserwatorium, że się urodził w Odessie.

– Wy znaczit odiessit – powiadam – no prodołżajtie...[2]

W olbrzymim, źle, ponuro oświetlonym bloku sale mieszkaniowe są wspólne. Kobiety gnieżdżą się razem z mężczyznami.

---

[2] Ros. – Jest pan, znaczy się, z Odessy... no, proszę kontynuować.

Zarząd bloku spoczywa wyłącznie w ręku Rosjan, którzy mnie także biorą za Rosjanina. Strażnik blokowy w mundurze amerykańskich kompanii wartowniczych nazywa się tak jak ja: Mackiewicz. Urodził się w Kownie. Mówi po polsku. Patrzy na mnie ze złością. Jest Litwinem.

Potem – po takim samym błocie, wśród tych makabrycznie wyglądających ruin – docieram do innego podobnego bloku. Wszędzie Polacy są wystraszeni i zepchnięci w dół, nikt tu nie słyszał o żadnych polskich organizacjach. Ludzie czekają na wyjazd do Ameryki, Kanady, Australii. Małżeństwu, które ma dziecko ułomne, daje się prawo wyjazdu, ale każe się im zostawić dziecko-kalekę. Małżeństwu obarczonemu starym ojcem czy starą matką na utrzymaniu odmawia się prawa zabrania starego człowieka ze sobą.

Tak się dzieje w dziewiętnaście wieków po narodzeniu... Chrystusa.

Te ruiny zaczynają mnie zupełnie denerwować. Idę na dworzec i siadam w pierwszy lepszy pociąg jadący do Heidelbergu, nietkniętego przez bombardowania. Pociągu jadącego bezpośrednio nie ma. Od drugiej do czwartej w nocy siedzę w poczekalni kolejowej za stołem i zarządzam plebiscyt. Kiedy było lepiej – za czasów cesarstwa, Republiki Weimarskiej, Trzeciej Rzeszy hitlerowskiej, dzisiejszej republiki związkowej czy republiki wschodniej?

Z ośmiu osób, siedzących ze mną przy stole, jedna dziewczyna oświadcza: „Szczerze powiem, że oczywiście za czasów Hitlera", jeden półinteligent odpowiada: „Adenauer" i zaraz wybucha śmiechem podchwyconym przez wszystkich, widać, że była to nie odpowiedź, a tylko ponury dowcip, a sześć osób odpowiada solidarnie, że za czasów cesarstwa.

– Nie jestem monarchistką – mówi jakaś babina – ale wtedy był porządek, a od tego czasu porządku nie ma.

Kanclerz Związkowej Republiki Niemiec Zachodnich, Konrad Adenauer, jest istotnie bardzo niepopularny. W Bonn grają

operetkę, gdzie jakiegoś idiotę, który chlubi się tym, że jest jednocześnie burmistrzem i ogniomistrzem straży pożarnej, pyta inny aktor:

– Wie heissen Sie endlich?

– Heinrich.

– Ich glaubte, Konrad[3].

Cały teatr wybucha śmiechem.

A przecież w Niemczech panuje prawdziwa prosperity. Tylko domy są zrujnowane i ulice pełne błota. Poza tym żywności jest co niemiara, towarów co niemiara, wszyscy są dobrze ubrani, wspaniałe niemieckie filmy, koleje, tramwaje, samochody, wszędzie wzorowa organizacja, naokoło widać natężenie pracy.

## Amerykanie

W roku 1945 Amerykanie wydali na swoim terenie okupacyjnym odezwę do Polaków, w której mówili: „Nie myślcie, że jesteście zwycięzcami. Zwycięzcami nie jesteście wy, lecz my".

Mniej więcej to samo pisałem, na kilka miesięcy przed pojawieniem się tej odezwy, w swoich broszurach wydawanych w Londynie. Przestrzegałem wtedy swoich rodaków, aby nie myśleli, że zwycięstwo Anglosasów będzie zwycięstwem Polaków. Pospieszyliśmy się ze wstępowaniem do wojny. Trzeba było ze wstąpieniem do wojny możliwie długo czekać. Myśmy do niej wskoczyli pierwsi jak chłopak, który przez całą noc nie śpi, by go starsi nie zapomnieli zabrać na polowanie na kaczki.

Ale chociaż ta odezwa amerykańska potwierdzała to, co pisałem, nie powiem, abym o niej myślał z sympatią.

Teraz słyszałem, że w kraju wirtembersko-badeńskim władze niemieckie gotowe były otworzyć szkołę polską, ale sprzeciwił

---

[3] Niem. – Jak pan się w końcu nazywa? – Heinrich. – Myślałem, że Konrad.

się temu komisarz amerykański gen. Gross, wypowiadając przy tej sposobności mowę, którą cytuję na podstawie sprawozdania zamieszczonego w „Ostatnich Wiadomościach" wychodzących w Mannheimie.

Generał Gross powiedział, że dipisi[4] nie powinni się cofać przed żadnym wysiłkiem, by nauczyć się języka niemieckiego i wziąć żywy udział w życiu swej gminy.

> Wasze dzieci powinny chodzić do niemieckich szkół. Ale z drugiej strony nic nie przemawia przeciw temu, aby uczyły się języka i historii swego kraju ojczystego. Byłoby jednak wielką niesprawiedliwością wobec waszych dzieci, gdybyście je uczyli gloryfikowania swej przeszłości, zamiast kierować wzrok ku przyszłości.

Jednak po dłuższym przyglądaniu się administracji amerykańskiej nie mam dla Amerykanów żadnych złych uczuć. Administracja ta pracuje bardzo indywidualnie, każdy z administratorów wypowiada złote myśli, które mu przechodzą przez głowę, ale w całości polityka amerykańska nastraja Niemców na konflikt z Rosją i przychylna jest tworzeniu federacji europejskiej.

Jest to w zupełnym kontraście z polityką angielską, która całym swoim wysiłkiem sabotuje organizowanie federacji europejskiej i oczywiście zdąża do utrzymania panowania Sowietów we wschodniej części Niemiec, jak długo tylko się da.

Oczywiście polscy komuniści widzą w wojsku sowieckim, stojącym na przedmieściach Berlina, zabezpieczenie Polski przed niebezpieczeństwem niemieckim. Jest to punkt widzenia zgodny z całym systemem ich myślenia politycznego i logicznie z nim

---

[4] Dipisi (ang. displaced persons) – określenie osób (głównie z Europy Wschodniej) wywiezionych w czasie drugiej wojny światowej na przymusowe roboty do III Rzeszy, do obozów jenieckich lub koncentracyjnych, uwolnionych w latach 1944–1945. W 1945 w specjalnych obozach dla przesiedleńców przebywało ok. 8 mln dipisów, z czego ok. 7 mln wróciło później do swoich krajów.

związany. Ale tym, którym chodzi o uzyskanie niepodległej Polski, wolnej od zależności od Rosji, musi zależeć na tym, aby Sowiety ustąpiły jak najprędzej ze wschodniej części Niemiec. Bo przecież nie może być – rzecz jasna – Polski niezależnej od Rosji, dopóki otoczona jest ona sowieckimi siłami zbrojnymi, dopóki Rosja znajduje się w Berlinie, Dreźnie i Meklemburgu.

Amerykanie w swej okupacji uprawiają w ostatnich czasach bardzo intensywną agitację antyrosyjską i zachęcają Niemców do tworzenia siły zbrojnej.

Jakiś 21-letni Niemiec napisał list do amerykańskiego komisarza generalnego McCloya z ostrymi wyrzutami. Gdy byłem w Niemczech, drukowano odpowiedź McCloya. Wysoki komisarz pisze, że nikt nigdy nie kwestionował honoru wspaniałego korpusu oficerskiego armii niemieckiej, że honor żołnierza niemieckiego itd., że Amerykanie dlatego są w Niemczech, aby ich bronić.

Czytałem, jadąc do Niemiec, słynnego teoretyka wojny i znakomitego paradoksalistę gen. Clausewitza. Otóż Clausewitz powiada, że w roku 1812 Rosjanie wcale nie mieli zamiaru wpuszczać Napoleona tak głęboko w głąb Rosji, że przeciwnie robili, co mogli, by się jego pochodowi sprzeciwiać, a jednak właśnie owo zapędzanie się Napoleona w głąb Rosji, owo wydłużenie linii komunikacyjnych, było jedyną formą walki z Napoleonem.

To samo można powiedzieć o sytuacji politycznej w Niemczech dzisiejszych. Proamerykański rząd Adenauera wcale nie wywołuje antywojennych i antyuzbrojeniowych nastrojów społeczeństwa niemieckiego. A jednak istnienie tych nastrojów w tak wysokim napięciu i w takiej powszechności daje Niemcom znakomitą pozycję do targów. Zamiast – jak by zrobili Polacy – błagać o broń, aby „polec w rogatywce", jak znakomicie powiedział nasz najznakomitszy publicysta polityczny, tj. Marian Hemar, Niemcy – wprost przeciwnie – powiadają: „Nie chcemy się bić o swoją ojczyznę" i tym zmuszają tamtych do różnych ustępstw i do błagań: „Panowie Niemcy kochani, bijcie się, na litość boską".

Byłem w parlamencie niemieckim podczas debat o kosztach okupacyjnych. Każdy Niemiec płaci 225 marek rocznie, aby żołnierz okupacyjny mógł pić szampana – wołano w tych debatach. Oczywiście, jeśli chodzi o Amerykanów, dużo jest demagogii w takich biadoleniach. Żołnierz amerykański istotnie płacony jest fantastycznie, ale przecież wydaje te pieniądze w Niemczech. Otrzymuje je niemiecki szynkarz, niemiecka szwaczka, niemiecka akuszerka. Okupacja amerykańska nie zubaża kraju niemieckiego. Wprost przeciwnie.

Ale oto wstępuje na trybunę p. Carlo Schmid, słynny socjalista niemiecki, jeden z niewielu niebędących pod wpływem angielskim. Jest synem Francuzki z Perpignan, człowiekiem o tuszy hipopotama i myśli bystrej jak lot orła. Świetny mówca. Kończy swoją z francuską klarownością umysłu ułożoną mowę takim frazesem:

– Wszystko zależy od wokabularza. Od tego, czy się używa w stosunku do nas starego czy nowego wokabularza. Bo według starego wokabularza jesteśmy tylko zwyciężonymi. Według nowego wokabularza jesteśmy kandydatami na sojuszników.

I oczywiście o to tylko chodzi.

Wieczorem tegoż dnia jestem u p. Schmida i rozmawiamy o sztuce hiszpańskiej. Mówi on:

– Niech tylko ktoś ośmieli się mi powiedzieć, że Wilno nie jest polskie miasto. Byłem tam, jak byłem ułanem za czasów tamtej wojny.

## Anglicy

Polityka angielska w Niemczech potwierdza to wszystko, co o polityce angielskiej od wielu lat piszę i czego oczywiście nie mogę od razu powtórzyć w „Wiadomościach". Cieszę się bardzo, że nareszcie dni ostatnie przyniosły rozbrat polityki amerykańskiej, może naiwnej, ale niewątpliwie szczerej, z polityką angielską.

Polityka Stalina daje nam Odrę i Nysę, polityka amerykańska może nam dać odzyskanie niepodległości oraz Wilno i Lwów. Polityka angielska zdąża do odebrania nam Odry i Nysy i pozostawienia linii Curzona jako granicy na wschodzie.

Na razie Anglicy chcą utrzymania podziału Niemiec pomiędzy Sowiety i państwa zachodnie. Po cichu, nieoficjalnie sabotują plany zjednoczenia Europy i po cichu, nieoficjalnie sabotują amerykańskie zbrojenia Niemiec. Partia socjalistów niemieckich jest partią zupełnie od Anglików zależną. Jest to po prostu partia angielska, jak mi o tym mówi pewien dziennikarz-socjalista. Toteż Schumacher wyzyskuje nastroje mas, aby uprawiać agitację pod hasłem: „Nie chcemy zbrojenia Niemiec" i w ten sposób osłabia pozycję Adenauera i jego stronnictwa.

List Grotewohla[5] został napiętnowany przez Kirkpatricka: więc jakże, Niemcy, idziecie z Zachodem czy ze Wschodem? Dlatego też Schumacher natychmiast obrzucił inicjatywę Grotewohla najgorszymi inwektywami. Oczywiście list Grotewohla był tylko manewrem sowieckim. Ale nie każdy manewr sowiecki spotyka się z tak ostrym przeciwdziałaniem ze strony angielskiej. Tutaj Anglicy bronili jednak zasady podziału Niemiec, tak drogiej polityce angielskiej.

Zbrojenie Niemiec musi przyśpieszyć konflikt z Sowietami, nie może, lecz musi wywołać wojnę. Dlatego też Anglicy są tak bardzo temu przeciwni, chociaż na zewnątrz do tego się nie przyznają.

---

[5] Chodzi najprawdopodobniej o list otwarty skierowany przez premiera NRD Otto Grotewohla do kanclerza RFN Konrada Adenauera 30 listopada 1950, zawierający propozycję zwołania ogólnoniemieckiego Zgromadzenia Konstytucyjnego, złożonego w równych częściach z reprezentantów Niemiec Wschodnich i Zachodnich, które miałoby się zająć powołaniem rządu ogólnoniemieckiego.

Polityka angielska w Niemczech potwierdza całkowicie moją tezę, że nastawiona jest ona na:

1) utrzymanie podziału Niemiec;
2) utrzymanie antagonizmu amerykańsko-rosyjskiego;
3) niedopuszczenie do wybuchu wojny.

## Niemcy prorosyjscy i proamerykańscy

Obawy konfliktu z Rosją i niechęci do zbrojeń, które żywi dziś 99,99% społeczeństwa niemieckiego, nie należy w żadnym wypadku uważać za objaw prosowieckiego nastawienia tego społeczeństwa. Komuniści istnieją wszędzie, są więc i w Niemczech, lecz jest ich tutaj cztery razy mniej niż we Francji, pięć razy mniej niż we Włoszech, o wiele mniej niż w Polsce. Chęć uniknięcia konfliktu z Rosją należy przypisać nie jakiejś sympatii do systemu sowieckiego, lecz wręcz odwrotnie: żywiołowej antypatii do tego systemu, obawie, że w razie wojny Rosja zajmie całe Niemcy i zaprowadzi swoje porządki.

Niemcy Zachodnie są przesycone hiobowymi wiadomościami o stanie rzeczy w okupacji rosyjskiej. Nie ma co jeść, nie ma swobody osobistej – kto może, ucieka stamtąd. Spotkałem trochę komunistów, bo ich specjalnie szukałem, ale byli to intelektualiści, natomiast gdy robotnicy jadą do fabryki i rozmawiają ze sobą o polityce (bo w Niemczech wszyscy ciągle rozmawiają i to rozmawiają ciągle o polityce), nienawiść do komunizmu trzeszczy jak elektryczność.

Podkreślam raz jeszcze, że całość społeczeństwa niemieckiego, jakkolwiek politycznie rozgadana po gardło, jest pasywna i nie chce żadnych konfliktów i wstrząsów. Ideał jedności niemieckiej nie jest kwestionowany jako ideał idealny, ale odsuwany jest do idealnych mgławic na jutro. Na razie nikt nie chce wojny dla odzyskania wschodniego Berlina czy Drezna. Z tym musi się liczyć rząd Adenauera i na tym żeruje p. Schumacher z socjalistami, gdy

Adenauerowi za sugestią niewątpliwie angielską zarzuca zbytnią uległość wobec amerykańskich planów zbrojeniowych.

A jednak w tym morzu pasywności obecne są dwie grupy dynamiczne.

Jedna, prorosyjska, składająca się z ludzi o nastawieniu konserwatywnym, wywodząca się od generałów, szlachty pruskiej czy eksmonarchistów. Ta grupa życzy sobie odrodzenia polityki Rapallo, polityki Brockdorffa-Rantzaua, jeśli kto chce, polityki Ribbentrop-Mołotow.

Druga grupa to przeciwnie, grupa antyrosyjska, dążąca świadomie do konfliktu z Rosją w charakterze sojusznika Ameryki. W tej grupie zarysowują się silne tendencje dojścia do ugody z Polakami. O niej będę pisał za chwilę.

Grupa pierwsza uważa, że zasada niezależności polityki niemieckiej wymaga odczepienia się od okupantów zachodnich i przez długi czas marzyła, że Stalin wyrzeknie się niemieckich komunistów dla uzyskania całych Niemiec jako sojusznika. Oblano ich zimną wodą – jak to słyszałem ze źródła wyjątkowo dobrze poinformowanego – oświadczeniem, że Stalin w żadnym wypadku nie odstąpi od granicy polskiej na Odrze i Nysie. Oczywiście grupa ta jest skrajnie antypolska, programem jej dalszym byłby rozbiór Polski pomiędzy Rosję i Niemcy. Powołuje się na Bismarcka, ale zapomina, że Bismarck mówił: „Jestem za zgodą z Rosją, dopóki można, ale w razie wojny z Rosją należy w maksymalnej formie wysunąć kwestię polską".

List Grotewohla znowu poruszył tę grupę. Tygodniki będące pod jej wpływem zaczęły wykładać swój makiawelizm. Rokowania z Grotewohlem byłyby faktycznym rozpoczęciem niezależności polityki niemieckiej. Zaczęto nawoływać Adenauera, aby zaczął naśladować Stresemanna w jego słynnym lawirowaniu pomiędzy Sowietami a Zachodem. Byłem na zwołanym w tej sprawie wiecu studentów w Bonn. Studenciki z tytułami baronów i blondyneczki-baronówny oklaskiwały wniosek, że Adenauer

powinien rokować z komunistami. Wniosek ten otrzymał 125 głosów przeciw 85.

Konserwatyści nie istnieją dziś jako partia. Ale szmuglują się podobno do demokratów wolnościowych.

Jeśli Amerykanie oceniają człowieka w dolarach, to Niemcy cenią państwa według ich zwycięstw militarnych. Są w depresji i mają kompleks niższości, ponieważ wojnę przegrali. Klęski Mac-Arthura, który tu jest zresztą uważany za analfabetę w dziedzinie sztuki wojennej, bardzo tu prestiżowi Ameryki zaszkodziły. A znowuż 20 dywizji gen. Rokossowskiego odbija się dodatnio w rozmowie Niemca z Polakiem.

Druga grupa, proamerykańska i prowojenna, musi się daleko bardziej kryć przed tym społeczeństwem, które tak wojny nie chce. Grupa ta ma oparcie w dwóch środowiskach.

Po pierwsze, wśród uchodźców. Są to ludzie rozhisteryzowani, społecznie zdeklasowani i dlatego pragnący wielkich zmian. Myśl o wojnie przeraża ich mniej niż innych Niemców.

Po drugie, wśród wywiadu amerykańskiego. Słyszałem, że wpływ Niemców na ten wywiad jest decydujący. Amerykanie musieli wziąć do tego wywiadu Niemców-konfidentów i po kilku latach ci niemieccy konfidenci potrafili swoim kierownikom narzucić swe koncepcje polityczne. Otóż podobno Niemcy z wywiadu amerykańskiego życzą sobie wojny z Rosją.

Wśród tych Niemców proamerykańskich istnieje chęć dogadania się z Polską. Nie chcą gadać z Ukraińcami, bo uważają Ukrainę za awanturę. Natomiast Polskę uważają za państwo poważne i są zdania, że sprawy rosyjskiej nie załatwią bez polskiego sojusznika. Gdy mnie pytano w tej sprawie, odpowiadałem, że incydent z układem z gen. Prchalą[6] zrobił na wszystkich polskich

---

[6] Chodzi najprawdopodobniej o porozumienie w Wiesbadenie zawarte 4 sierpnia 1950 między emigracyjnym Czeskim Komitetem Narodowym, reprezentowanym przez gen. Prchalę, a Grupą Roboczą ds. Ochro-

politykach emigracyjnych wrażenie fatalne. Odpowiadano mi, że ten incydent nie może być uważany za miarodajny.

## Co było, to minęło, ale co będzie?

Wiemy, że na konferencji w Homburgu pod Frankfurtem gen. Eisenhower powiedział:

– Co było, to minęło. Jeśli Niemcy pójdą razem, należy się im całkowite równouprawnienie. Udział Niemców w ich obronie musi być jednak wynikiem ich własnej decyzji.

Ale po konferencji z Eisenhowerem p. Schmid, zapewne najinteligentniejszy tej konferencji uczestnik, oświadczył:

– Teraz wierzę, że wojny nie będzie.

Pomiędzy tymi dwoma zagadkowymi oświadczeniami, o których nie wiem, co konkretnie oznaczają, tkwi też zagadka przyszłości świata, Ameryki, Rosji i Polski.

## Anegdota turystyczna na zakończenie

Na zakończenie anegdota dla czytelnika. Ponieważ kilka osób łaskawie ułatwiało mi poznawanie różnych wybitnych Niemców ze wszelkich środowisk, więc m.in. otrzymałem depeszę zapraszającą od księcia Bismarcka.

Nie mogłem wtedy z tego zaproszenia skorzystać, więc w kilka dni później starałem się ze swego hoteliku połączyć telefonicznie z wnukiem żelaznego kanclerza. Nie znałem numeru telefonu, więc prosiłem międzymiastową o wyszukanie tego telefonu.

Po chwili dzwonek, łączą mnie z odpowiednim miastem, lecz tylko z apteką pod nazwą „Książę Bismarck".

---

ny Interesów Niemiec Sudeckich, wyrażające wolę współpracy w celu stworzenia warunków umożliwiających powrót Niemców sudeckich do ojczyzny i zgodne współżycie z Czechami.

Wieszam słuchawkę i tłumaczę telefonistce, że chodzi mi nie o aptekę, lecz o samego Bismarcka.

Znowu dzwonek i dialog następujący:

– Czy mogę mówić z księciem Bismarckiem?

– Książę Bismarck jest przy telefonie.

Zaczynam parlować po francusku, tłumacząc się, dlaczego nie skorzystałem z pierwszego zaproszenia.

W odpowiedzi słyszę:

– Verstehe kein Wort[7].

„Cóż u cholery – myślę sobie – czyżby on naprawdę nie mówił po francusku", zaczynam więc wykładać po niemiecku, że dostałem od niego depeszę, ale nie mogłem z niej skorzystać.

– Żadnej depeszy nie wysyłałem – odpowiada mi telefon.

Tym razem był to hotel pod nazwą „Książę Bismarck", którego właściciel, rozmawiając ze mną, kierował się widać maksymą: „Hotel to ja".

Idę więc osobiście na stację pocztową i tłumaczę urzędniczce, że chodzi mi o istotę żyjącą, o wnuka kanclerza, o którym przecież musiała słyszeć.

– O, to było tak dawno – odpowiada urzędniczka.

---

[7] Niem. – Nie rozumiem ani słowa.

nr 257, 4 marca 1951

# *Une vie manquée*[1]

Swego czasu wydawano we Francji opracowania biograficzne pod tytułami: *La vie orageuse…*, *La vie courageuse…*[2] Stąd tytuł tego artykułu. Treść jego powstała także z refleksji nad książką francuską. Pewien pisarz i działacz drugorzędny, lecz wielki przeciwnik marszałka Pétaina, z radykalno-społecznej grupy katolickiej, wydał swoje wspomnienia o życiu politycznym we Francji w czasie między wojnami i w nich najobszerniej zajmuje się osobami Maurrasa, Daudeta, Bainville'a, organizacją i gazetą „L'Action Française" i wpływem Maurrasa na Francję, zwłaszcza na uniwersytety. Z tego, co ten przeciwnik maurrasizmu pisze, widać, jak wielki, jak głęboki był wpływ Maurrasa na kształtowanie się pojęć młodego pokolenia, na młodzież akademicką. W okresie między wojnami wyższe uczelnie paryskie były rojalistyczne, ściśle biorąc – maurrasowskie.

Zajmuje mnie to bardzo, tak ze względu na obecne moje zainteresowania, jak i ze względu na moją własną biograficzną – że się tak wyrażę – przeszłość, którą chcę się zająć w artykule niniejszym. Dzisiaj chciałbym stworzyć własną formułę syntezy historii. Marks powiedział, a raczej powtórzył za niektórymi filozofami niemieckimi, że o biegu historii decydują interesy gospodarcze. Marks mieszkał w Anglii, tworzył i myślał w Anglii – Anglia istotnie całą swoją politykę, całą swoją filozofię polityczną oparła na interesach gospodarczych, merkantylnych, toteż objawienie

---

[1] Fr. życie daremne.

[2] Fr. życie burzliwe, życie odważne.

Marksa na tym terenie było przekonywające. Dziwniejsze jest, że młodzież rosyjska od połowy XIX wieku zaczęła porzucać karierę osobistą, możliwości zarobkowe, że pogrążała się w nędzę, że szła do więzień, aby szerzyć przekonanie, że światem rządzą interesy materialne, gospodarcze, racja brzucha. W moim mniemaniu filozofia Marksa, która miała i ma tak wielkie dla nas znaczenie historyczne, jest z gruntu błędna: o biegu dziejów decydują nie interesy gospodarcze, lecz wielkie iluzje, które ludzkość sobie stwarza i za którymi nie wiadomo dlaczego dąży, a interesy gospodarcze, aczkolwiek oczywiście odgrywają rolę olbrzymią, występują jednak przeważnie w charakterze czynnika powstrzymującego, hamującego, zachowawczego. Można co najwyżej powiedzieć, że bieg historii świata to dramatyczna walka wielkich iluzji świata ze zmysłem gospodarczo-zachowawczym; że historia świata przypomina nieśmiertelną powieść Cervantesa: wpierw Don Kichot na swoim wychudzonym wierzchowcu, potem dopiero Sancho Pansa na swoim tłustym osiołku. Bolszewizm, komunizm, socjalizm kazał tylko wygadywać międzynarodowemu Don Kichotowi przenudne tyrady z marksistowskiej dogmatyki ekonomicznej, a Sancho Pansie – mruczeć pacierze romantyczne, poza tym nic nie zmienił w porządku powstawania wydarzeń światowych. Ruchy komunistyczne, które dziś od Malajów po Paryż wstrząsają światem i które – obawiam się – jednak zwyciężą, są wielką iluzją, jak wielką iluzją było wszystko: protestantyzm XVI wieku, kontrreformacja XVII wieku, panowanie ludzkiego rozumu w XVIII wieku, romantyzm, mesjanizm, nacjonalizm XIX wieku, wszystko…

Jeszcze raz wróćmy do Marksa i Anglii. Niedawno przestudiowałem starego Clausewitza i doszedłem do przekonania, że cała jego doktryna wojenna, uważana za powszechną, za uniwersalną, powstała pod sugestią jednego, wielkiego, lecz paradoksalnego incydentu, mianowicie załamania się potęgi napoleońskiej na płaszczyznach rosyjskich w roku 1812. Tak samo Marks tworzył

swoje teorie na podstawie historii Anglii i tylko Anglii. Angielski *genius loci* ciąży nad tą brzydką biblią świata zagrażającego cywilizacji i wolności człowieka.

Maurras, dziś więzień w więzieniu francuskim – o hańbo XX wieku! – był wielkim myślicielem, który stworzył ideologię polityczną opartą na przeżyciach emocjonalno-artystycznych. Hellenista, romanista, mediewista, miłośnik sztuki i poezji, sam stylista znakomity, porwał młodzież francuską za sobą, zwrócił jej oczy wstecz na minione piękno Francji, zwrócił jej wzrok ku dniom, które pięknie zakończyć się potrafiły. Maurras był więc reakcjonistą o tyle, że żył przeszłością, lecz jego ideologia emocjonalno-estetyczna nie była żadnym absurdem. To w Anglii przy egzaminach z historii sztuki każą kandydatom przede wszystkim znać historię ekonomiczną epoki, w której żył artysta. Oczywiście jest to szczerze głupie. Aby zrozumieć artystę, trzeba znać przede wszystkim te wielkie iluzje, które światem za życia tego artysty rządziły, a dopiero później ówczesny stan gospodarczy. Historia świata tłumaczy się o wiele lepiej dziełami sztuki, które nam po tych epokach pozostały aniżeli graficzno-statystycznymi zestawieniami bilansów handlowych. Oczywiście nie angielska, nie angielska…

Aby zrozumieć, dlaczego Maurras w okresie między dwiema wojnami potrafił tak porwać młodzież francuską dla swoich estetyczno-politycznych ideałów, trzeba pamiętać, że polityk francuski bardzo często jest człowiekiem kulturalnym. Herriot, obecny senior polityków francuskich, dla własnej przyjemności wygłasza odczyty o Chopinie; Blum był znakomitym pisarzem i przyjemnym filozofem; jednemu z ministrów francuskich nie przeszkadzało w otrzymaniu teki to, że był wielkim matematykiem. U nas w Polsce było zupełnie inaczej. Jeden Piłsudski, zresztą geniusz na skalę światową, był historykiem, wspaniałym pisarzem, człowiekiem dużej kultury umysłowej. Rydz był niewątpliwie lepszym poetą i malarzem aniżeli głównodowodzącym, ale poza

tym ambicje kulturalne rzadko dręczyły serca naszych polityków i władców. Członkowie parlamentów polskich, do których należałem, nie mieli zainteresowań kulturalnych. Warszawa w latach 1928–1935 miała piękne życie kulturalne, teatralne, artystyczne; posłowie sejmowi na ogół rzadko chodzili do teatru, czasami do kina na film amerykański. Pamiętam, jak koryfeusze sejmu byli zdziwieni, że mnie… konserwatyście i prawicowcowi podobała się *Rodzina* Słonimskiego. Od polityka w Polsce nie wymagało się cenzusu kulturalnego. Przeciwnie… utarło się przekonanie, że polityk nie może się znać na zagadnieniach kulturalnych. Kiedyś w jakimś wydawnictwie literackim, bodaj krakowskim, przeczytałem o sobie artykuł, którego autor, nie posiadając się ze zdumienia, ujawnił sensacyjny fakt, że ja – polemista polityczny – napisałem studium o Nathalie Puszkin, żonie poety, studium – zdumiewał się dalej – wcale niezłe… na znajomości źródeł oparte. Ciekawe, że to samo jest na emigracji. Tutaj nasze wszechwładne sfery polityczne z obojga rad są zupełnie izolowane od naszych przebogato utalentowanych sfer artystyczno-kulturalnych.

Jeszcze jedna uwaga o Maurrasie. O ileż trzeba być lepszym pisarzem, jeśli się chce być konserwatystą. O ileż trzeba nadrabiać finezją, erudycją, inteligencją, talentem. O ileż bardziej inteligentnym musiał być Maurras od przeciętnego literata francuskiego, powtarzającego republikańskie banały. O ileż bardziej finezyjny musiał był Mereżkowski, typowy pisarz konserwatywny, w porównaniu z Gorkim, rówieśnikiem rewolucji. O ileż u nas więcej się wymagało od Władysława Leopolda Jaworskiego, niewątpliwego pisarza konserwatywnego, w porównaniu z jakimś innym profesorem występującym w barwach endeckich, czy, uchowaj Boże, ludowcowych.

Powiedziałem na wstępie, że Maurras interesuje mnie także… autobiograficznie. Raz jeszcze zwracam uwagę, że artykuł niniejszy jest cynicznie autobiograficzny, jest rodzajem spowiedzi

z zawiedzionego żywota. Otóż ja także… W jakiejś bajce o królewnie może się pojawić sześciu książąt i powiedzieć, że byli jej kochankami i w końcu ordynarny pastuch, który powiada, że on także z nią spał. Otóż ja także, jak Maurras, próbowałem być doktrynerem, założycielem szkoły myślenia politycznego. Bodaj nawet prof. Kot coś o tym gdzieś wspomniał, gdy jednocześnie pisał, że ton prasie konserwatywnej po ustąpieniu z niej prof. Estreichera zaczął nadawać „ekonomczuk wileński". Otóż ten „ekonomczuk wileński" to ja. Tak się co prawda zdarzyło, że mój ojciec nigdy nie był ekonomem ani niczym podobnym, ale określenie „ekonomczuk" mnie zachwyciło. Zjazd w Nieświeżu, który zorganizowałem, był jednym z wykładników mej doktryny politycznej. Oczywiście nie będę tu pisał o jej systematyce.

Mój konserwatyzm wypływał, jak sądzę, z rewolucyjności mej natury. Zresztą wszystkich pisarzy, którzy współpracowali w moim „Słowie" wileńskim, a więc braci Zbyszewskich, braci Pruszyńskich, braci Bocheńskich, mego własnego brata Józefa Mackiewicza, Michała K. Pawlikowskiego i wielu innych cechował temperament wybitnie krnąbrny. Zawsze chcieli pisać to, co nie odpowiadało gustom i upodobaniom czytelnika. I to nas wszystkich także zbliżało do szkoły „L'Action Française", która także była szkołą metod i atmosfery rewolucyjnej. Cóż to bowiem znaczy rewolucyjność, umysłowość, psychika, charakter, temperament rewolucyjny? Chodzi w nim o stosunek nie tyle do istniejących norm prawnych, ile do przekonań swego środowiska, swego pokolenia, o stosunek do pojęć moralnych ludzi, wśród których się żyje. W końcu XIX wieku środowisko, z którego pochodził i w którym żył Maurras, Leon Daudet, całe to towarzystwo francuskich mieszczuchów, było zdecydowanie republikańskie, wystrzelenie rojalizmem było wybuchem rewolucji w stosunku do pojęć tych ludzi. Tak samo było ze mną. Nie mówię tu o ukraińskich i podolskich półhrabiczach w rodzaju trzech par braterskich, które wyżej wymieniłem, a którzy w „Słowie" sta-

nowili niewileńskie stronice tej gazety. Mówię o sobie. Uznałem się za konserwatystę, choć całym swoim wileńsko-inteligencko-szlachetkowym pochodzeniem związany byłem z tradycyjnie-demokratycznym sposobem myślenia. Na Wileńszczyźnie, trzeba wiedzieć, wszystko jest demokratyczne, nawet Żydzi wileńscy XVIII wieku byli odmianą Żydów postępowych, „Haskalą". Tym bardziej postępowe było środowisko szlacheckie. Taki właściciel majątku, wracający z udanego polowania na kaczki, zupełnie na serio mniemał, że nie ma większego radykała od niego na świecie. Mój ojciec nienawidził hrabiów z taką samą pasją, z jaką ja ich później broniłem. Zresztą wiele autentycznej szlachty litewskiej dobrze się zasłużyło sprawie początkującego socjalizmu polskiego, że poza wielkim Piłsudskim wymienię Jodkę-Narkiewicza, Władysława Studnickiego, Wandę Krahelską, Demideckiego-Demidowicza, nie wspominając o wielu innych.

Toteż właściwym wyrazicielem tradycji, atmosfery i aury społeczeństwa litewskiego (nie potrafię napisać stylem XX wieku: społeczeństwa polskiego na Litwie) było nie moje „Słowo", lecz demokratyczny „Kurier Wileński" p. Okulicza. Ten syn ziemiański wraz z córką starego ziemiańskiego rodu, p. Heleną Romer, uważali się za demokratów, a nawet radykałów społecznych. I to właśnie było bardziej dla Wilna… konserwatywne, bardziej tradycyjne, bardziej podobne do naszego tradycyjnego sposobu myślenia. Pan Okulicz, demokrata i radykał, miał zresztą o wiele bardziej ode mnie konserwatywną powierzchowność, wychowanie, maniery i nawet metodę działania i oceniania zjawisk. Co do mnie, nawet w gimnazjum koledzy nazywali mnie Rudinem, a Rudin to przecież turgieniewowski kryptonim dla Bakunina. Tutaj na emigracji Wraga otwarcie porównał mnie z Bakuninem i to zestawienie idzie mi po piętach przez całe życie. Sam uważałem zawsze Bakunina za osobistość plugawą i obrzydliwą, aż dzisiaj godzę się, że jest coś we mnie podobnego do niego, prócz jednej jego wrodzo-

nej cechy, cicho, ze względu na brak pieniędzy na emigracji, dodając: niestety.

A teraz jeszcze jeden paradoks. Oto Maurras ze swoim rojalizmem głoszonym w pełni XX wieku był o tyle rewolucjonistą, że głosił teorie, od których sfery burżuazji i inteligencji francuskiej dawno już odeszły. Rojalizm skończył się we Francji gdzieś około roku 1890 i to, co po nim pozostało, kryło się po starych zamczyskach jak szczury. Toteż Maurras był rewolucjonistą nie tylko w metodzie działania, ale i w treści głoszonych przez siebie poglądów. Ze mną, jako z konserwatystą wileńskim, było trochę inaczej. Powiedziałem, że środowisko wileńskie, w którym się urodziłem i żyłem, uważało się za ultrademokratyczne. Tak! – ale pomiędzy uważaniem się za kogoś a byciem kimś, zachodzi wielka różnica. Otóż społeczeństwo wileńskie uważało się za postępowe, ale podświadomie myślało często tak, jak myślą XVII-wieczni bohaterowie *Trylogii*. Stoły, łyżki i widelce, których używał autor *Pana Tadeusza*, były ciągle w użyciu, nimi się wciąż jadało. Pomimo demokratyczności *de nomine* społeczeństwo to było *de facto* konserwatywne i stąd wszystko, co głosiłem, bynajmniej nie miało dla nich posmaczku ostatniej nowości sezonu. A to, co tkwiło w rdzeniu mego stanowiska, mianowicie że praca na rodzinnym majątku kresowym nie jest pracą gospodarczą, ale rodzajem religijnego kultu, to i mój najlepszy przyjaciel Jaś, i mój szwagier Piotruś wiedzieli i rozumieli lepiej ode mnie. Tu tylko słowa były demokratyczno-nowoczesne, ale czy to widok na cudowne kampanile wileńskie, czy sposób siadania do sanek na wsi i otulania się burką był taki sam jak przed wiekami, był archaiczny. Byłem więc dla nich stale za dużym konserwatystą jako teoretyk i często za małym *de facto*.

A zresztą nasz kraj, Wilno i cała ta nasza ziemia ukochana i jedyna, i najbardziej dziś z całego świata skrzywdzona, nie mogły być dostatecznym audytorium dla doktryny, która miała ambicje być doktryną polityki polskiej. Tym audytorium mogła

być tylko młodzież całego państwa. Otóż tu gruntownie różniłem się od Maurrasa. On swoją młodzież potrafił zdobyć, a ja wprost przeciwnie. Jako publicysta polityczny aktualny byłem głośny, może czasami skuteczny; jako dziennikarz byłem najczęściej cytowany w przeglądach prasy; jako autor pewnej doktryny nie istniałem w ogóle, zero, nul. Nawet „Myśl Mocarstwowa"[3] niewiele mnie rozumiała, a zresztą wpływ tej organizacji był znikomo mały i niewyraźny. Mój wpływ doktrynerski ograniczał się do jednostek, nie potrafił opanować nawet najbliższego otoczenia. Młodzież polska poszła żywiołowo za zupełnie innym nurtem: narodowym, później oenerowym. Jako doktryner byłem bezpłodny jak muł.

W tych wyznaniach mniej jest pokory, niżby się zdawało. Nurt narodowy naszej młodzieży doprowadził w końcu do tego, co się z nami stało. Mojej doktryny nikt nie słuchał, a więc jej treść spowodowała dla mnie katastrofę osobistą. Doktryna naszej młodzieży spowodowała katastrofę całej Polski.

Ostatnią moją książką wydaną w Polsce była *Książka moich rozczarowań*. Otrzymałem wtedy list, który głosił: nie tylko Pan się rozczarował. Autorem tego listu był płk Sławek. W kilka tygodni później nastąpiła jego śmierć samobójcza.

A byłem już zupełnie bezsilny w tym, co było najważniejsze. Rozumiałem dobrze, że w razie wojny z Niemcami Rosja zajmie nasze ziemie wschodnie, czego nie rozumiały bałwany w naszych ministerstwach w Warszawie. I dlatego robiłem wszystko, aby tej wojny nie było. Ludzie Nieświeża, Skidla, Woropajewa, Belmontu, Zatrocza, Wiałej, Wołożyna, Waki i Ornian nie rozumieli, że szwendając się po ulicach dalekich Katowic z aparatem w ręku,

---

[3] Myśl Mocarstwowa – studencka organizacja konserwatywna, założona w 1926 (do 1929 jako Akademicka Młodzież Zachowawcza). Pierwsze kroki działalności politycznej stawiali w niej m.in. bracia Bocheńscy, bracia Pruszyńscy czy Jerzy Giedroyc.

by atakować i szkalować wojewodę Grażyńskiego, robiłem to w rozpaczliwej próbie ratowania bezpieczeństwa naszej ziemi. Ta moja rozpaczliwa i śmieszna szarpanina publicystyczna nic naturalnie nie pomogła[4]. Wojna z Niemcami wybuchła i Rosja do nas przyszła, potworniejsza niż Rosja Mikołaja, i kraj nasz wyglądał jak mała dziewczynka z kokardą we włosach uderzona w twarz pniem sosny jadącym na kołach żelaznych.

Dzisiaj należę już do innego społeczeństwa, w którego skład wchodzą ludzie myjący naczynia po Anglikach, dozorczynie wychodków, robotnicy zmian nocnych, służba domowa i muzealna, ludzie noszący liberie tramwajarzy czy podziemek. Wiem, że synowie litewskich i wołyńskich książąt, myjących dziś naczynia u Lyonsa, nie będą już synami książąt, lecz po prostu synami pomywaczy. I oto obserwuję na sobie samym, na swej psychologii, na przekonaniach, wpływ żelaznego prawa środowiskowego. Byłem w polskich barakach wbudowanych w park otaczający piękny zamek z angielskiego XVI wieku. Kilka osób z kresów zamieszkałych w tych barakach, a więc ultraproletariuszy, ubolewało, że jakiś urząd angielski wycina wiekowe drzewa w tym parku. Z początku byłem dumny, że ci wilnianie solidaryzują się z drzewami, a nie z laburzystami, którzy drzewa wycinają. Ale potem poczułem, że o ile z rozkrzyżowanymi rękami broniłbym w domu moich córek alei lip i alei kasztanów, które tam były, o tyle tych drzew lordowskich bronić nie mam nie tylko żadnej możności, ale nawet żadnej ochoty… ich pies. Międzynarodowy konserwatyzm diabli wzięli w chwili Jałty.

---

[4] Na temat przedwojennej koncepcji polityki zagranicznej Mackiewicza i prowadzonej na jej rzecz działalności publicystycznej zob. J. Sadkiewicz, *„Ci, którzy przekonać nie umieją". Idea porozumienia polsko-niemieckiego w publicystyce Władysława Studnickiego i wileńskiego „Słowa" (do 1939)*, Kraków 2012.

# Pallas Atena i Ares

Ares, bóg wojny w starożytnej Helladzie, wierzył w swoje zwycięstwa, w hałas, grzmot i chrzęst swojej zbroi, w uderzenia swego miecza, w siłę swej pięści...

Pallas Atena, bogini mądrości, żeglugi, handlu, ładu społecznego oraz wojny, uważała, że wojna to tylko służka innych dalekosiężnych kombinacji. Pallas Atena była boginią mądrej, przewidującej wojny.

I w micie greckim Ares jest zawsze pobity, zwyciężony przez Pallas Atenę. To tylko Afrodyta kocha się w Aresie, ale Pallas Atena zawsze jest jego przeciwniczką.

Napoleon... pomimo całej swej wielkości błądził, uważając, że bitwy, że zwycięstwa militarne decydują o biegu historii, że są źródłem dalszego biegu dziejów. Tak samo myślał właściwy spadkobierca doktryny napoleońskiej, tj. niemiecki sztab generalny, tak samo myślał potworny obłąkaniec Hitler.

Dla Bismarcka, który jako szlachcic pruski kochał wojsko nade wszystko, wojna była tylko instrumentem w mądrych przemyślanych planach politycznych. I dlatego Napoleon przegrał, niemiecki sztab generalny przegrał, Hitler przegrał, Bismarck wygrał.

Polityka angielska, wojna angielska jest także spod znaku Pallas Ateny, a nie Aresa.

Ze studium gen. Wacława Stachiewicza (*L'offensive pour la Pologne*), w nr 40/41 „Kultury"[1] wynika, że Francuzi porywali się

[1] W. Stachiewicz, *L'offensive pour la Pologne*, „Kultura" 1951, nr 40/41, s. 128–160.

czasami, aczkolwiek zdaniem autora o wiele niedostatecznie, by dać nam pomoc w pierwszych dniach września 1939 roku, ale że zawsze w takim wypadku powstrzymywali ich Anglicy. Dlaczego tak było?

Znowuż sięgniemy do starożytności. Francuzi to naród łaciński, wychowany na prawie rzymskim, na łacińskim poczuciu honoru. Naczelna zasada prawa rzymskiego brzmi: „pacta sunt servanda" – „układów należy dotrzymywać". Kto zawiera układy „mala fide", by wprowadzić w błąd swego kontrahenta, by układu nie dotrzymać, ten jest człowiekiem bez honoru, a to dla ludzi kultury łacińskiej bardzo dużo znaczy. Toteż Francuzi, gdy nic zrobić nie mogli, przynajmniej dla przyzwoitości chcieli udawać, że coś robią.

Anglicy mają cokolwiek inną psychikę. Nie przychodzi im do głowy, że układ zawarty w interesie Anglii mógł być wykonywany wbrew tym interesom. Sucha formalistyka prawa rzymskiego, która wymaga bezwzględnego wykonania tego, co się obiecało, nie przemawia do ich wyobraźni.

Po tym podwójnym odwołaniu się do starożytności przystąpmy do omawiania studium gen. Stachiewicza.

Studium to, mające formę polemiki z pamiętnikami gen. Gamelina, wypowiada w sposób delikatny tezę bardzo dla naszego narodowego samopoczucia przyjemną, ale pod względem realizmu historycznego bardzo skrajną, a mianowicie: we wrześniu 1939 roku przegraliśmy, bo Francuzi nie dotrzymali nam umowy. Argumentacja autora da się powtórzyć w sposób następujący. Proces norymberski wykazał, że Niemcy podczas swej napaści na Polskę pozostawili na froncie zachodnim (granice Francji, Beneluksu, Szwajcarii) zaledwie 23 dywizje, podczas gdy armia francuska liczyła w ogóle 110 dywizji, na froncie antyniemieckim miała 85 dywizji, a z łatwością mogła mieć grupę uderzeniową o sile 40 dywizji. Mogli więc uderzyć wtedy, kiedy 33 dywizje polskie walczyły z przeważającymi siłami niemieckimi. Mogli

nas wtedy ocalić, a i sami mieli jedyną szansę wygrania tej wojny. Francuzi nie dotrzymali jednak układu z 19 maja 1939 roku[2].

Tak brzmią tezy gen. Stachiewicza.

Jak wspomniałem, są one dla każdego Polaka bardzo przyjemne i krytykowanie ich stanowi obowiązek raczej przykry. Ale tyle razy pisałem, że nasze klęski rodzą się z fałszywych doktryn politycznych, iż uważam za swój ciężki obowiązek wystąpić przeciw tej niewątpliwie fałszywej doktrynie.

Załóżmy, że gen. Stachiewicz ma rację; że gdyby Francuzi uderzyli na Hitlera wtedy, gdyśmy się jeszcze bili wszystkimi swoimi siłami, a więc w pierwszych dniach wojny, mogliby wywrócić koncepcję Hitlera, który chciał pobić wprzód Polskę, by nie walczyć jednocześnie z Zachodem i Wschodem. Istotnie, swego czasu, jesienią 1914 roku, wojska cesarskorosyjskie gwałtownie uderzyły na Prusy Wschodnie, Niemcy musiały tam wysłać dwa korpusy i to podobno przesądziło o ich klęsce, a o francuskim zwycięstwie nad Marną. W tym miejscu gen. Stachiewicz jest przekonywający, zwłaszcza że niemieccy generałowie z dużą złośliwością wypowiadali na procesie norymberskim podobne poglądy.

Ale gen. Stachiewicz nie docenia roli Anglii i jej wpływu na rozwój wypadków. Anglii nie mogło wtedy zależeć, aby Hitlera zawracać znów na zachód, skoro z całych sił zwracali go na

---

[2] Dnia 19 maja 1939 w Paryżu podpisano protokół wieńczący polsko-francuskie rozmowy międzysztabowe i *de facto* reaktywujący sojusz Warszawy i Paryża, w poprzednich latach będący bardziej formalnym niż faktycznym. Wejście protokołu w życie uzależniono jednak od podpisania protokołu politycznego, co nastąpiło dopiero 4 września 1939. Protokół z 19 maja przewidywał podjęcie przez Francję, w wypadku agresji niemieckiej na Polskę, natychmiastowych działań powietrznych, działań ofensywnych o ograniczonych celach około trzeciego dnia po pierwszym dniu mobilizacji powszechnej, a działań ofensywnych przy użyciu głównych sił, począwszy od piętnastego dnia po mobilizacji.

wschód. Nie prostoduszny Ares, lecz przemądra Pallas Atena panowała nad tą wojną.

Zresztą gen. Stachiewicz wyraźnie nie ma racji, gdy mówi o niewykonaniu układu z 19 maja 1939 roku przez Francuzów. Układ przewidywał uderzenie generalne Francuzów dopiero w 15 dni od rozpoczęcia mobilizacji francuskiej. Francuzi wypowiedzieli wojnę 3 września, mobilizację zarządzili 2 września, a więc 15 dni po mobilizacji wypadało 17 września. Rosjanie widać byli dobrze poinformowani o tajnych francusko-polskich układach wojskowych, skoro uderzyli na nas właśnie 17 września, ale fakt tego uderzenia uznać obiektywnie należy za kompletne przekreślenie planów przewidzianych w konwencji[3].

Toteż gen. Stachiewicz nie powinien łączyć tych dwóch rzeczy:

1) niewykonania przez Francuzów umowy z 19 maja 1939 roku;
2) i nieskorzystania przez Francuzów z okazji polegającej na tym, że w pierwszym tygodniu wojny, gdy gros sił niemieckich zaangażowane było w Polsce, na zachodzie mieli Niemcy tylko 23 dywizje.

Z tej okazji istotnie Francuzi nie skorzystali; gdyby nie rządzili wtedy nimi Lebrun, Daladier i Gamelin, lecz Bonaparte,

---

[3] Autor monumentalnej biografii Stalina nie wspomina, by sowiecki dyktator znał tajne postanowienia francusko-polskich układów wojskowych. Działaniami operacyjnymi Stalina we wrześniu 1939 miały kierować przede wszystkim ostrożność oraz brak zaufania do Niemców. Początkowo miał czekać, by zobaczyć, jak dobrze będzie sobie radzić Wehrmacht w ofensywie i jakie działania militarne podejmą zachodni sojusznicy Polski. W połowie września przeważyły jednak obawy o to, czy Niemcy będą honorować granicę stref wpływów ustaloną w pakcie Ribbentrop-Mołotow, i to te obawy, jak się wydaje, zdecydowały o wydaniu Armii Czerwonej rozkazu do wkroczenia na terytorium RP właśnie 17 września. Zob. S. Kotkin, *Stalin. Waiting for Hitler 1929–1941*, New York 2017, s. 679–686.

może by skorzystali, ale właśnie z umowy z 19 maja wynika, że nigdy z takiej okazji korzystać nie mieli zamiaru, że wyraźnie nam zapowiedzieli, że do generalnej ofensywy przejdą nie pierwszego czy drugiego, lecz dopiero piętnastego dnia mobilizacji.

A za treść umowy ponosi odpowiedzialność zarówno czynnik francuski, jak i czynnik polski. Niewątpliwie umowa o dniu piętnastym odpowiada założeniu, że Polacy przez dwa tygodnie będą się Niemcom opierali bez utracenia większości swych sił i większości swego terytorium. Obowiązkiem wodzów naczelnych jest realna ocena swych sił, a nie powodowanie się poezją, mistyką czy uchwałami na wiecach.

Nie chcę przez to powiedzieć, iż wina za to, że Francuzi przewidywali, że będą zdolni do działań zaczepnych dopiero piętnastego dnia po mobilizacji, spada na nasz Sztab Główny. Nie! – oczywiście nie! Ale przecież dla każdego musiałoby być wtedy jasne, że im wcześniej Francuzi zaczną swą ofensywę, tym lepiej, bo tym większe będą szanse, że nie będą walczyli sami, lecz z pomocą naszych, źle uzbrojonych i dowodzonych, lecz bitnych, odważnych i walecznych wojsk na wschodzie. Jeśli więc Francuzi w umowie z nami przyznają się do tego, że do takiej ofensywy zdolni są dopiero piętnastego dnia po mobilizacji, to znaczy, że jej w żaden sposób wcześniej rozpocząć nie mogli albo że nasze czynniki ze względów „propagandowych" czy „prestiżowych" nie nastawały specjalnie na termin wcześniejszy. Prestiż i propaganda – oto są rzeczy, które nas zwykle prowadzą do klęsk i głupstw tragicznych! Można tylko tutaj wypowiedzieć uwagę, że Francuzi, przyznając się w umowie, że dopiero piętnastego dnia będą gotowi do ofensywy, postępowali w sposób bardziej odpowiedzialny od naszych przedstawicieli, którzy nie dopuszczali nawet myśli, że po dwóch tygodniach możemy być rozbici.

Generał Stachiewicz napisał swe studium z wielkim poczuciem godności osobistej i narodowej. A jednak to przecież tak naturalne, tak ludzkie, tak zrozumiałe – chce z siebie i ze swoich

kolegów zrzucić trochę z tej straszliwej odpowiedzialności, która na nich za straconą niepodległość ciąży.

Niestety, odpowiedzialności tej po przeczytaniu jego studium zdjąć z nich nie możemy. Kapitalne pytanie w tym procesie dziejowym brzmi: „Czy istotnie Polska w tej wojnie musiała iść na ogień pierwszy? Czy nie mogliśmy tego porządku odwrócić?". Sam gen. Stachiewicz pisze, co następuje:

> Dzisiaj wiemy, że Hitler chciał uderzyć na Francję, a dopiero potem po kilku latach zwrócić się na wschód. Jednak stało się dla niego jasne, że Polska zaatakuje Niemcy, kiedy będą one zaangażowane na Zachodzie. Wskutek tego zmienił swój „ulubiony" (*sympatische*) plan i postanowił najpierw uderzyć na Polskę (Dokument 798 PS procesu norymberskiego)[4].

Tak jest! Jak wiemy z tegoż procesu norymberskiego, Hitler zdecydował się napaść na Polskę po „gwarancjach" angielskich udzielonych nam łaskawie 30 marca 1939 roku[5]. Oczywiście i Anglicy wiedzieli, i my powinniśmy byli wiedzieć, że te gwarancje spowodują atak Hitlera na Polskę. Z chwilą przyjęcia przez nas tych gwarancji wchodziliśmy w stan wojny z Hitlerem, odciągaliśmy go od pierwotnego planu napaści na zachód, zwracaliśmy jego wojska przeciw nam samym.

Wiedzieliśmy także – przynajmniej powinniśmy byli wiedzieć – że nie będziemy mieli dużo czasu do stracenia, że nie oddziela nas od napastnika nie tylko kanał La Manche, ale nawet

---

[4] W. Stachiewicz, *L'offensive pour la Pologne*, dz. cyt., s. 158. Dokument 798 PS procesu norymberskiego to przemówienie Hitlera do najwyższych dowódców Wehrmachtu z 22 sierpnia 1939.

[5] Brytyjczycy udzieli Polsce jednostronnych gwarancji 31 marca 1939 (w innych miejscach, w których Cat pomylił tę datę, poprawiono na właściwą).

jakieś podobieństwo do tej linii Maginota, w którą wtedy wszyscy wierzyli, jak dziś wierzą w bombę atomową.

Jakąż więc nam pomoc obiecywała Anglia, co materialnie, efektywnie, rachunkowo dawały nam te „gwarancje"?

Generał Stachiewicz wspomina, że odwiedził nas z ramienia Anglii w maju 1939 roku gen. Clayton, a w lipcu gen. Ironside, który przyjechał samiuteńki, bez żadnego oficera sztabowego[6]. Obiecana nam przez Anglików pomoc wojskowa według gen. Stachiewicza (słuchajcie, słuchajcie!) polegała na obietnicy, że kilka naszych kontrtorpedowców schronić się będzie mogło w portach angielskich[7].

To niedużo!

Nawet gotów jestem powiedzieć, że to raczej jakaś – minimalna zresztą – pomoc Polski dla Anglii, a nie Anglii dla Polski.

Prokurent przyjmujący czek, na który jawnie nie ma pokrycia, jest później za niego odpowiedzialny przed swoją firmą. Nasza generalicja:

1) poważnie deliberowała nad rzekomą „gwarancją" angielską i rzekomą pomocą z tej strony, której naprawdę całkiem nie było;
2) podpisała z Francuzami umowę wojskową, zgadzając się na to, że ofensywa francuska rozpocznie się dopiero piętnastego dnia po mobilizacji, choć powinna była wiedzieć, że my, wobec braku lotnictwa i broni pancernej, dwutygodniowego nacisku ze strony Niemców nie wytrzymamy;
3) nie przewidziała napaści Rosjan na nas, w każdym razie nic nie zrobiła, co by wskazywało, że się z taką możliwością choć trochę liczy.

Ale na tym jeszcze nie koniec.

---

6 W. Stachiewicz, *L'offensive pour la Pologne*, dz. cyt., s. 136.

7 Tamże, s. 135.

Z omawianego studium gen. Stachiewicza wynika, że on dziś jeszcze nie rozumie, o co chodziło w tej naszej kampanii wrześniowej, jakiego rodzaju posunięciem była kampania wrześniowa na szachownicy świata. Widać ze wszystkiego, iż autor studium jest przekonany, że Anglii chodziło o tworzenie pierścienia naokoło Niemiec i że nas potrzebowali jako części tego pierścienia. Generał Stachiewicz wspomina co prawda, że gen. Ironside przyjechał do Polski sam, bez żadnego oficera, ale nie wyciąga z tego żadnych dalszych refleksji. Generał Stachiewicz notuje fakty angielskich sprzeciwów, gdy Francuzi chcieli nam pomóc w pierwszych dniach września, ale także nie zastanawia się głębiej nad powodami takiej angielskiej polityki wojskowej.

Generał Stachiewicz nie uchwycił istoty tego polityczno-angielskiego manewru wojskowego, którego rezultatem była kampania wrześniowa, tego genialnego z angielskiego punktu widzenia manewru politycznego, którego skutkiem była zatrata naszej niepodległości.

Anglikom chodziło nie o to, by Polacy zabili kilkadziesiąt tysięcy Niemców. Ogłaszane dokumenty stwierdzają ponad wszelką wątpliwość, że już przez cały rok 1938, nie mówiąc o roku 1939, angielska myśl polityczna pracuje intensywnie nad sposobami wciągnięcia Rosji do walki z Hitlerem. Anglicy znają przecież słabość militarną Francji i kunktatorstwo Ameryki. Rosja jest im potrzebna w pierwszej fazie wojny. Gwarancje udzielone Polsce były manewrem mającym na celu nadzianie Niemców na bagnety rosyjskie za pomocą stworzenia wspólnej granicy, styku pomiędzy Hitlerem a Stalinem. Anglicy wiedzieli, że to wcześniej czy później musi doprowadzić do wojny między tymi dwoma państwami. Stalin próbował odwrócić politykę angielską, na której się poznał, tak jak gen. Stachiewicz do dziś dnia jej nie rozumie. Zawarł więc pakt o nieagresji z Hitlerem 23 sierpnia 1939 roku. Ale to tylko sprawę odroczyło, to kosztowało Anglików przegraną we Francji i mnóstwo innych rzeczy nieprzyjemnych, jednak

przecież manewr angielski w końcu się udał. Wojna, rozpoczęta w czerwcu 1941 roku, wojna pomiędzy Stalinem a Hitlerem, którą Anglicy planowali jeszcze w roku 1938, nie byłaby możliwa, gdyby pomiędzy Hitlerem a Stalinem istniała niepodległa Polska i ten cały system, który niepodległość Polski stwarzał, tj. niepodległy Bałtyk i niepodległa Rumunia.

Anglicy w marcu 1939 roku gwarantowali nam niepodległość w celu zniszczenia tej niepodległości. I to było ważne w kampanii wrześniowej i to decydowało, a nie, ile tam miał Hitler dywizji na froncie zachodnim.

Generał Stachiewicz biada, że Francuzi nie zaatakowali Niemców w pierwszych dniach września i nie rozumie, dlaczego Anglicy podobnym planom się opierali. Boże, cóż za ignorancja rzeczywistości. Anglikom nareszcie udało się Hitlera na wschód skierować, kampania rozwija się dla planów angielskich niesłychanie pomyślnie – Hitler szybko zdąża do granic Rosji, a gen. Stachiewicz chce, aby go z tyłu za frak chwytać i z powrotem na zachód ciągnąć. Boże, cóż za naiwność!

nr 267, 13 maja 1951

# Pisarz i gramatyka

## Do redaktora „Wiadomości"

Zawsze z największym zaciekawieniem czytam to, co pisze p. Stanisław Westfal. Ale oświadczam uroczyście, że wbrew jego wskazówkom w nr 265 „Wiadomości" będę zawsze pisał „słowianofili", nie „słowianofilów", tak samo jak „gili", nie „gilów", „wodewili", nie „wodewilów", „paszkwili", nie „paszkwilów", „złodziei", nie „złodziejów", „żołnierzy", nie „żołnierzów", jak również będę pisał „mistrzów", ale jeśli chodzi o „wachmistrzy", to właśnie „wachmistrzy", a nie „wachmistrzów".

Dlaczego? – Nie wiem. Nie jestem specjalistą od gramatyki – wiem tylko, że język tworzą pisarze, nie gramatycy. Ważniejsze jest, jak coś napisał Mickiewicz w *Panu Tadeuszu* lub Sienkiewicz w *Trylogii*, niż co o tym postanowił c.k. podręcznik w krakauerskiej Golicji i Głodomorii.

Krakauerom zawdzięczamy językowe potworności w rodzaju „Bank dla Handlu i Przemysłu", „ministerstwo dla Galicji", „oficer od huzarów" oraz inne szkaradzieństwa. Najlepiej po polsku pisali zawsze ludzie, którzy się gramatyki polskiej nigdy nie uczyli, natomiast uczyli się łaciny w dzieciństwie i pochodzili spod Nowogródka lub Kowna. Z ministrów polskich najpiękniejszą polszczyzną mówił nie żaden Kumaniecki, Nowak czy inny profesor „c.k. Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie", lecz p. Aleksander Meysztowicz z Pojościa.

Ale skoro p. Westfal wie wszystko, niech nam wytłumaczy, kiedy i dlaczego zarzucono przepiękną formę „od" i zastąpiono

ją obrzydliwym „przez" (*durch*)? „...Jako dziecko od Żydów kłute igiełkami" – pisze Mickiewicz, „od dworaków opuszczona, Helena w stroju niedbałym" – pisze Niemcewicz itd., itd. Przez kilkaset lat pisaliśmy „od", a tu raptem od połowy XIX wieku „przez". Dlaczego?

nr 277, 22 lipca 1951

# Wrażenia z odczytu

Kilka tygodni temu w Londynie Władysław Studnicki miał odczyt publiczny. Urodził się w roku 1863[1], ma więc lat 88. Jest małego wzrostu, a teraz na starość wygląda na jeszcze mniejszego. Mówił bez żadnego potknięcia się, żadnego powtarzania, argument szedł za argumentem, tworząc wielką logiczną całość. Sala była wypełniona. Był prof. Stroński, był p. Bielecki, było wielu ludzi, którzy przez całe życie zwalczali poglądy tego starego człowieka. Ja, który byłem zawsze jego entuzjastą, uczniem, wyznawcą, odnajdowałem w tym wszystkie argumenty mi znane, przypominałem sobie, w którym roku Studnicki ich używał. Całe życie tego człowieka, które znam po części ze studiów nad historią przedwojennej Polski, po części z własnych wspomnień, stanęło mi przed oczami. Młodość zaczyna od siedzenia w więzieniu, od syberyjskiej zsyłki. Potem odgrywa wielką, kierowniczą rolę w Polskiej Partii Socjalistycznej. Wlewa w poglądy tej partii nie tylko uczucia narodowe, patriotyczne, ale zaszczepia jej program niepodległościowy. Odsyłam tu czytelników do mojego *Klucza do Piłsudskiego*, w którym przytaczam dokumenty, artykuły pism socjalistycznych z pierwszego okresu istnienia PPS i protokoły zjazdów tej partii, aby się przekonali, jak dalece w owych czasach PPS potrafiła być antypatriotyczna i jak wielki był wysiłek Studnickiego, który zmieniał nurt ideałów tej partii. Wtedy – jest to jeszcze wiek XIX – Studnicki znany jest jako „towarzysz Veto". Potem Studnicki zrywa z socjalizmem,

[1] Władysław Studnicki urodził się 15 listopada 1867.

zbliża się do narodowców, staje się nacjonalistą. Wypowiada szereg proroctw, przepowiada wojnę japońską, klęskę Rosji na Dalekim Wschodzie, jest jasnowidzem w polityce zagranicznej. W czasie pierwszej rewolucji rosyjskiej jest zdecydowanym przeciwnikiem włączania Polski do nurtu tej rewolucji. Stwarza i zaszczepia młodemu pokoleniu Polski tęsknotę do własnego państwa. Powiecie, że chęć odzyskania niepodległości nigdy nie zamierała w naszym narodzie – i tak, i nie. Przez pewien czas niepodległość była frazesem wygłaszanym w czasie uroczystości narodowych, ale nie miała charakteru programu realnego.

Życie Studnickiego związane jest z Piłsudskim. Tak się złożyło w historii narodu polskiego na przełomie XIX i XX wieku, że Studnicki zawsze pierwej o tym mówił, co geniusz Piłsudskiego później realizował. Ci dwaj ludzie schodzili się i rozchodzili bardzo często. Koncepcję oparcia powstańczego ruchu polskiego – irredentystycznego ruchu polskiego, jak to się mówiło trochę z włoska, trochę z secesji – na Austrii stworzył przede wszystkim Studnicki. Była to koncepcja, która w rezultacie dała Związki i Drużyny Strzeleckie – legiony – manifesty o niepodległości Polski wydane przez mocarstwa centralne, potem przez Rosję, wreszcie przez koalicję. Studnicki to więcej niż nestor niepodległościowej myśli polskiej, to współautor samego powstania tej niepodległości.

Nie miał zresztą orderu, który się nazywał „Polonia Restituta". Zdawałoby się, że powinien go mieć, drugi po Piłsudskim, ale go nie dostał. Kiedy byłem uczniem gimnazjum rosyjskiego, znałem jednocześnie dwóch ludzi: Studnickiego, który szerzył zapał do odzyskania niepodległości, i nauczyciela matematyki w moim gimnazjum Iwana Bronisławowicza. Mój kolega, gdy mu przy tablicy kolega-Żyd podpowiadał rozwiązania algebraiczne, a Iwan Bronisławowicz chciał temu przeszkodzić, miał doskonały sposób: zaczynał do Iwana Bronisławowicza mówić po polsku: „Panie Janie itd.", a to dlatego, że Iwan Bronisławowicz był nie

tylko Polakiem, ale prócz tego prywatnym korepetytorem tego mego kolegi. Iwan Bronisławowicz odchodził wtedy jak oparzony i procedura rozwiązania zadania posuwała się dalej naprzód. Ten Iwan Bronisławowicz za polskich rządów dostał ową „Polonię Restitutę". Studnicki – nigdy.

Mniejsza z tym. Studnicki z wykształcenia – jeśli się można tak wyrazić – jest socjalistą. Metodyka marksistowska, w którą wierzył za czasów młodości, zaciążyła na jego sposobie argumentacji. Jego argument to argument przede wszystkim ekonomiczny, gospodarczy, zazwyczaj podparty danymi statystycznymi. Nie należy do tych Polaków, którzy uważają, że aby mówić o polskiej polityce zagranicznej, trzeba sięgać do *Ksiąg pielgrzymstwa…* Adama Mickiewicza lub do utworów Kornela Ujejskiego. Ale to ekonomiczno-statystyczne nastawienie jego argumentacji łączy się z zupełnie innym obrazem. Dla mnie Studnicki to nie ekonomista, nie polityk, to po prostu „jakiś polski święty". Postać jego znajduje podobnych tylko wśród tych ludzi średniowiecza, którzy wbrew wszystkim, wbrew społeczeństwu, wbrew hierarchom kościelnym bronili swojej prawdy. Bronili jej wbrew wszystkim, otrzymując od wszystkich za to tylko cięgi; bronili jej tylko dlatego, że uważali ją za prawdę w poczuciu jakiegoś świętego obowiązku. Ludzie ich często uważali za wariatów. I oni byli wariatami z mieszczańskiego punktu widzenia. Temu Studnickiemu przez całe życie nie tylko nie chodziło o jakieś głupie ordery czy tytuły, nie chodziło o pieniądze, zaszczyty, zadowolenie ambicji – on zawsze wszystkich na siebie oburzał, gdyż zawsze głosił to, co uważał za dobro Polski. Nikt bardziej bezinteresownie Polski nie kochał – nikt – o ile przynajmniej sięgają moje wiadomości historyczne.

Zestawiłem go przed chwilą ze swoim byłym nauczycielem Iwanem Bronisławowiczem. Teraz zestawię go z samym sobą. Byłem w roku 1939 przeciwnikiem wojny na dwa fronty, wiedziałem, czego nie rozumieli Beck, Składkowski czy Rydz, że inwazja

niemiecka pociągnie za sobą inwazję rosyjską. Od czasu do czasu komuś to prywatnie bąknąłem, ale poza tym, widząc, że nastrój narodu idzie w zupełnie innym kierunku, wzruszałem tylko ramionami i rozkładałem ręce. Studnicki był wtedy nie tylko większym ode mnie obywatelem, ale o ileż bardziej przewidującym politykiem. Napisał wtedy książkę prorokującą, że Anglia nas w tej wojnie oszuka, jak oszukała w rzeczywistości. Książka ta była oczywiście skonfiskowana, a samemu Studnickiemu zagrożono, że zostanie osadzony w szpitalu wariatów, jeśli zacznie osłabiać hasło: „Silni, zwarci, gotowi". A no – było to logiczne. W społeczeństwie ogarniętym powszechną wariacją miejsce jedynego człowieka przytomnego było w szpitalu wariatów.

Przyszła wojna. Studnicki przez całe życie był człowiekiem walki wpierw z Rosją, potem z bolszewizmem. Ale pojawił się Hitler, który swoim bestialstwem sprawił, że Niemcy stali się niebezpieczeństwem groźniejszym od wszelkiego bolszewizmu. Koncepcje Studnickiego po raz pierwszy zawisły powietrzu, stały się nierealne.

Teraz, słuchając jego długiego odczytu, podziwiając siły umysłowe tego człowieka bliskiego dziewięćdziesiątki, uśmiechnąłem się do znanych mi argumentów przez niego wypowiadanych, jak się uśmiecha kobieta, gdy otworzy szufladę z lalkami z czasów swego dzieciństwa. O ta, bez głowy, nazywała się Dzisia, a ta bez ręki to Wańdzia, a ta bez oczu to Janeczka, a ta z długim noskiem to Jadzieńka... Argumenty Studnickiego wydawały mi się przebrzmiałe w skutku tej wojny, która po nas przeszła i doszczętnie nas rozwaliła. On jeszcze ma siły w to wszystko wierzyć – myślałem sobie – Boże, jaki on jest młody.

Ale potem stało się coś patetycznego. Oto sala zaczęła się wygłupiać. Różni ludzie z zębami na wierzchu powstawali z miejsc i plotąc bzdurne banały najgorszego gatunku, zaczęli tego starca pouczać o obowiązkach patriotycznych. Różne Iwany Bronisławowicze wszelkiego gatunku zaczęły wypychać swój

nieposzlakowany patriotyzm zadkiem do góry. Niektórzy mówili ze słodyczką donosiku w ustach. Zawsze było to samo. Zawsze ten człowiek typowy dla pięknego wieku XIX wierzył, że przekona logiką, przekona argumentem, przekona wypowiedzeniem myśli logicznej. I zawsze banał śmierdzący zatęchłą perzyną, banał najohydniejszy szedł jak mściwa erynia polskości za nim i wtórował, jak potworne echo, czystości jego myśli i jego wspaniałym intencjom.

I teraz właśnie przyszedł ten moment patetyczności, o którym mówiłem. Stary Studnicki wstał i wygłosił przemówienie, z którego zwięzłością, wyrazistością, krasomówstwem, siłą przekonania i patriotyczną nadzieją nic nie da się porównać. „Wybierajcie!" – zawołał na końcu.

Nie darmo Henryk Sienkiewicz nazwał Władysława Studnickiego „Podbipiętą".

PS: Po przeczytaniu korekty powyższego artykułu odczułem pewną jego – zresztą czysto przypadkową – niesłuszność i niesprawiedliwość. Wrażenia, które opisuję, z dyskusji po odczycie prof. Studnickiego, miałem w życiu wiele razy, po wielu jego odczytach, ale właśnie tym ostatnim razem tak się wyjątkowo zdarzyło, że do wypowiedzenia tych sądów nie mam prawa, że na sali znalazło się kilku ludzi, którzy zabierali głos, aby wyrazić uznanie najodważniejszemu z polskich publicystów. Do nich zaliczę pp. Mieczysława Piszczkowskiego, księcia Lwa Sapiehę, prof. Zygmunta Jundziłła, Antoniego Plutyńskiego, hrabię Stefana Tyszkiewicza i jeszcze dwóch innych mówców. Ta okoliczność nie zmienia jednak w niczym ani dramatu człowieka, ani tragedii narodu – jeśli wolno użyć takiego skrótu.

# Międzymorze

Ruch Międzymorza, który się nazywa także Intermarium, maluje swe mapy obejmujące obszar od Grecji włącznie do Estonii włącznie, przy tym uzupełniane to wszystko jest jeszcze przez Ukrainę. A więc państwa bałkańskie, Jugosławia, Węgry, Czechy, Słowacja i Rumunia, Ukraina w najszerszych etnograficznych granicach, Polska, jakaś republika białoruska, o której od czasu do czasu się dowiadujemy, że przez Białystok i Grajewo sięga do Bałtyku, a więc byłaby obcięciem Bierutowego państwa od wschodu, wreszcie Litwa i inne państwa bałtyckie. Dla wprowadzenia w czyn tych gigantycznych zamysłów urządza się po świecie herbatki z sucharkami i zjazdy sympatyków, a także na różnych powielaczach odbija odpowiednio optymistyczne artykuły, które się nawet czasami drukuje, o ile znajdują się na to pieniądze.

Będę poniżej bronił korzyści, które z haseł Międzymorza może Polska wyciągnąć oraz będę się starał z całej tej wodnistości jakąś rybę z ościami wyłowić, ale na razie muszę oświadczyć, że zwolennicy Międzymorza hołdują błędnej zupełnie metodzie kształtowania celów i błędnej zupełnie metodzie politycznego działania.

## Błędy w założeniach teleologicznych

Należy rozumieć, że u źródła ruchu Międzymorza tkwi chęć stworzenia takiego organizmu politycznego, który by posiadał możliwości obronne zarówno w stosunku do Rosji, jak w stosunku do Niemiec: że właśnie z tego założenia wychodząc, nie-

którzy działacze Międzymorza zachłystują się tryumfalnie przy wykrzykiwaniu cyfr: 90 milionów ludzi! 120 milionów ludzi! 150 milionów ludzi! itd.

Otóż tego rodzaju cyfry absolutnie nic nie znaczą. Branie mapy, przeprowadzanie na niej ołówkiem jakichś linii nie może jeszcze dawać podstawy do żadnych politycznych kombinacji. W ten sposób można wykreślić także linię od Abisynii pod Częstochowę, wymyślić nazwę: „Czarno-Białe" i twierdzić, że się stworzyło jakiś system koalicji kulturalno-polityczno-obronnych. Żeby udowodnić, że dane narody powinny się sprzymierzyć, należy przede wszystkim udowodnić, że istnieje tu jakaś więź wspólnych możliwości obronnych. Otóż pomiędzy Grecją a Estonią nie ma oczywiście takiej więzi.

Poza tym „wspólnota obronna"! Jeszcze w roku 1939 można było śmiało mówić o jakimś systemie państw środkowoeuropejskich, które by stanowiły wspólnotę obronną. Dziś tego rodzaju rozważania są stanowczo przestarzałe. W ciągu tych dwunastu lat tak się zmieniła technika wojowania, że dziś już nawet imperium brytyjskie przestało być samodzielną jednostką obronną, a jest tylko siłą dodatkową, folwarkiem amerykańskich możliwości obronnych. Dziś są tylko dwie siły polityczne, które samodzielnie bronić się mogą, tj. Rosja z jednej strony, Ameryka z drugiej. Wszystko inne może być tylko członami jednej z tych sił i niczym więcej. Byłoby to może się zmieniło, gdyby istotnie powstała zjednoczona Paneuropa, ale o tym będziemy mówili później.

Łączenie w wizjach Międzymorza koncepcji polityczno-terytorialnych nic ze sobą wspólnego niemających, jak na przykład Ukrainy i Albanii czy Bułgarii i Łotwy, wskazuje na to, że samo planowanie sympatycznej kombinacji odbywało się w podniosło-poetycznej atmosferze, że do tej kombinacji każdy znosił swoje marzenia i sny i były one tam akceptowane zupełnie bezkrytycznie. Postępowało się przy tworzeniu Międzymorza według słów Wyspiańskiego: